

Z WĘDRÓWEK-PO

ŁÓDZI

Wielka PROSBA

małego
człowie-
ka

odpłatowy



MARIAN ZDROJEWSKI

Prawdę mówiąc, chodzę mi o sprawy szynkowo-kaszankowe, poza tym jestem małym człowiekiem i naprawdę mam wielką prośbę. Chcę błagać o obronę zarówno własnego żołądka jak i żołądków tych, co to szynki i tych, co to kaszanki, kupują. Ma się tę „polską naturę” — grunt to żołądek — co?

W najbardziej uroczystym dniu miesiąca wysłano mnie po zakupy. Podczas zakupu 20 dług szynki w sklepie mięsny — zrodziły się moje pierwsze wątpliwości. Rozumiem, że kolor biały oznacza tłuszcz, czerwonoróżowy tworzy „raj w gębie”, ale zielony i to w częściach odśrodkowych? Pani zza bufetu w białym, budzącym zaufanie fartuchu wyjaśniła, że przecież kolor nie decyduje o wartości, że tak właśnie powinna wyglądać szynka, że, że, że... No, wystąpcie panowie, którzy zdolni jesteście oprzeć się uroczemu uśmiechowi kobiety?

Nad niecodziennym, atrakcyjnym zakupem zawsze zbiera się kilka osób młaskających językiem. Widok szynki zzieleniałej skwitowany został zwrotem: „fe! świństwo!”, „o! zielona, szkoda” — prawem serii — zapoczątkowały dalsze narzekania. A narzekania są wielorakie: że szynka zielona wewnątrz a kielbasa zewnątrz; w taniej kielbasie dużo wody; kaszanka rzadka i cuchnąca; „... a czy to, droga pani Pędzińska, dostanie pani wołowiny? Jak przywiozą, trzeba się wystać. Na rynku jest na pewno! Gdzie? A w tych budach drewnianych po prawo... Bo to, moja złociutka, jak poprosić o pół kilo zawsze urznie więcej albo dołoży kawaleczków i nigdy się nie dowiesz ile powinno kosztować...”

„LUDZIE W BIELI”

Problematyka zaopatrzenia mieszkańców Łodzi w mięso kierują dwa potężne, niezależne, sztaby ludzi. W uproszczeniu: ZPM — produkcja, MHM — sprzedaż, a przecież „każdy kupiec swój towar chwali” a więc i poszukiwania utrudnione. Dopiero bliższa analiza pozwoliła mi odnaleźć ludzi w bieli, którym sprawy rynku mięsnego, sprawy warunków produkcji, wyrobów, jakości, w jakiej docierają do nas, leżą najbliżej serca. To oni właśnie — personel Stacji Sanitarnej-Epi-

Dokończenie na str. 9

TYGODNIK ŁÓDZKI

nr 35

Rok I. ŁÓDŹ, dn. 26 października 1958 r.



Pieśniarka paryska Juliette Greco występuje w filmie „Korzenie nieba”

Scena z realizowanego obecnie filmu produkcji polskiej pt. „Zamsz”

Fot. Witold Mickiewicz

Biały kapitan



Rozpoczynamy druk pamiętników „Białego kapitana” którego barwne, pełne przygód życie — służba w Legii Cudzoziemskiej, udział w akcjach komandosów francuskich — z pewnością zaciekwawi naszych Czytelników. „Biały kapitan” zawędrował już do literatury. Ciekawych odsyłamy do ostatnich rozdziałów książki Magdaleny Samozwaniec — „Błękitna krew”.

Patrz str. 11

Czy nadszedł zmiierzch malarstwa?

Gdzie się toczy „Pięte Koło”?

Dlaczego Picaso nie nadaje?

Jakie wystawy zobaczymy za rok?

Czy Łódź może konkurować z Paryżem?

Jak urządzić mieszkanie?

Kto projektował materiał w ciapki?

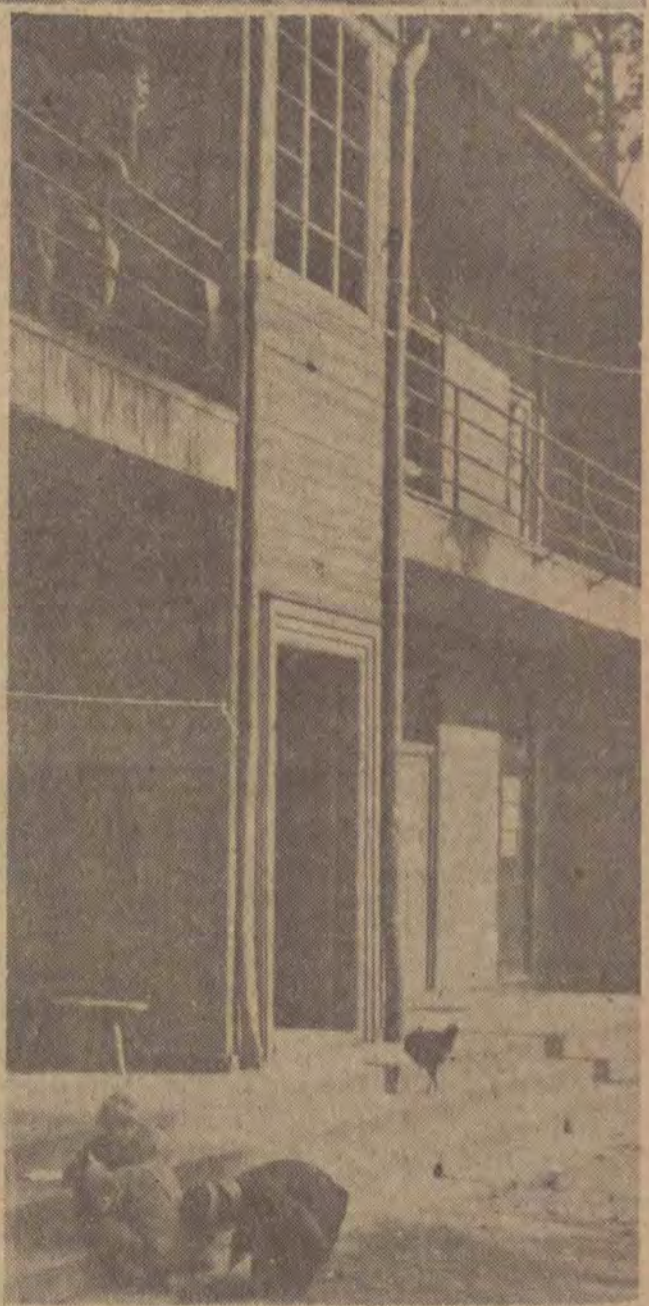
Na te i inne pytania odpowie

PALETA

(Patrz str. 4)



PRZEDZIWNNA WIEŚ KOLUMNA



W październiku Kolumna jest pusta i, jeżeli kto lubi smutek — smutna. Dworzec jest opuszczony. Pociągi przelatują jak duchy, na chwilę się tylko zatrzymując na stacji. Drzewa zasypują liśćmi dworzec, przysparzając kłopotu kolejarzom. Jeden milicjant zapewnia całkowite bezpieczeństwo. „Chyba grozi bezrobocie” — powiada i idzie na spacer z dziećmi. Bo wiem od miesiący nie się tu „ciekawego” nie wydarzyło. Nawet popularna „Kaplica” czyli gospoda, przed którą w tej chwili zatrzymają się z jednej strony ciężarówka, a z drugiej wóz zaprzężony w fotogenicznego konia, nie dostarcza za wielu emocji. Bufetowa jest uprzejma, czestuje wspaniałym „tatarem”. Rozmowa — jak przystało na stosunki w Kolumnie — jest rzeczowa. Dwie wysokie strony, które przedzielił bufet, patrzą na siebie życzliwie i z tą pewnością, jaka cechuje ludzi interesu.

Ja: Czy mógłbym wynająć w Kolumnie pokój, gdyby mi wypadło...

Bufetowa: (waha się chwilę) Można by to zrobić.

Umawiam się więc z mną angielskiego lorda. Przed gospodą już pusto. Koń pociągnął w swoją drogę, odjechała ciężarówka, zatrzymała się za to jedyna taksówka w tej miejscowości. A więc i Kolumna ma swoją taksówkę — nr 1. Naprzeciw jest miniaturowa kawiarenka — „Malańka”. Wstępujemy na dobrą kawę i jeszcze lepsze ciastka. Słucham i młoda „kawiarka”, bardzo rezolwna, rzuca kilka uwag o rodzinnej Kolumnie, z których wynika, że wesoło jest tu tylko latem. Często zachodzą na kawę zakochani, nad rzeczką jest miejsce zwane „rajem”, gdzie schodzą się wieczorami dziewczęta i pod wodzą pewnego „Smyczka” (przekrecam umyślnie przewisko) śpiewają, grają, wzdychają do księżycy, który lubi podobno bardzo okolice Kolumny. Z atrakcji kulturalnych — kino i teatr — ale ten ostatni uzależniony jest od teatrów łódzkich i wrocławskich. Ostatnio grano „Samobójstwo doskonałe”, „Kawiarz” i jej koleżanki przyjeżdżają po południu do Łodzi (kawiarnia, kino, teatr, cyrk) — komunikacja dogodna — a więc „problema kulturalne” są jako tako załatwione. Nie tylko kulturalne ale i towarzyskie. Jedną z dziewcząt przewoziła chłopców z Kolumny „Lamami”. „Lama”

to człowiek co najmniej nieporadny. Na dowód przytacza historyjkę pewnej niedawno skojarzonej pary: w parę tygodni po ślubie młoda żonka przyleciała z pretensjami do GRN, że ją skojarzyli z takim „nicpotem”. W ogóle ślubów w Kolumnie odbyło się w pierwszym półroczu 57, z tego trzy pary się rozwiodła — podobno z winy mężów. Potrzebny byłby

Tekst:
TADEUSZ PAPIER
Zdjęcia:
STEFAN MICHAŁOWSKI

na tym odcinku import. Umawiamy się więc na wieczór w Łodzi, w „Ziemiańskiej”.

Niepokoją nas jednak miny dziewcząt i uzupełniamy naszą ocenę u kłóskarzy. Ten, obok dworca, sprzedaje 15 — 20 egz. „Odgłosów”; z tygodników literackich — żadnego. W lecie zaledwie kilka numerów „Nowej Kultury”. Nawet „Dookoła Świata” nie idzie. Wzięcie ma tylko „Przekrój”. Ten, przy skrzyżowaniu dróg, w środku Kolumny, dobija się o większą ilość „Odgłosów”; z tygodników literackich nie sprzedaje prawie nic, co mimo sympatii dla wszystkich dziewcząt z Kolumny nie napawa nas radością. Ale to już nie tylko bolączka Kolumny.

Idziemy lasem, w którym kryją się wille. Tu i ówdzie koza przywiązana do drzewa, na sznurach powiewa bielizna. Wille drewniane, błętkowe, dosyć przyjemne. Na podwórzach — jeżeli te małe placzki, na których rosną drzewa można tak nazwać — pusto. Dorosli w pracy, z kominów ulatuje dym — „warzy się strawa”. Wdajemy się w rozmowę. Powoli nasz zachwyt stępnie. Mieszkania są zimne, ubikacje na zewnątrz. Z tą ostatnią sprawą to w ogóle, jak mówi moja kuzynka Wanda „draka” albo „zdechł kanał”; są trudności z ich oczyszczeniem, a GRN podobno nie wykazuje wielkiego entuzjazmu dopomożenia mieszkańcom. Nie udaje nam się zobaczyć, jak wygląda-

ją mieszkania wewnątrz. Na progu staje dziewczyna (koniecznie trzeba dodać, że ładna, że opjina ją szalenie czarny sweter (itd.), wkrótce orientujemy się, że to nie dziewczyna, tylko mężatka, matka do tego. Nie chce nas wpuścić do środka. Z głębi odzywa się głos starszej pani, raczej niechętny tej wizycie, więc żartujemy na progu, chytrze zerkając za plecy młodej rozmówczyni. Widzimy miednicę z wodą, dolatuje zapach kartoflanki i rekwiizyty wędrowe i wzrokowe robotniczego mieszkania.

Odwiadzamy z kolei Radę Narodową, gdzie dowiadujemy się ze zdziwieniem, że Kolumna jest wsią. Dziwna to wieś. Na przeszło 4 tysiące mieszkańców liczy sobie 12 autentycznych rolników, którzy są zobowiązani do dostaw zbożowych. Najbogatszy gospodarz posiada 9,5 hektara. Oczywiście, do rolników nie wliczają się ci, którzy posiadają parę i więcej arowe działki.

We wsi Kolumna zatrudnionych jest zaledwie 20 procent dorosłych mieszkańców. „Szczęśliwcy” ci pracują w Robotniczej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu, w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Prefabrykatów Budowlanych, Spółdzielni Przemysłu Ludowego i Artystycznego. 80 procent dojeżdża do zakładów łódzkich i pabianickich. Z tego przeglądu wynika, że Kolumna to osiedle robotnicze i letniskowe.

Letniskowe w lecie, robotnicze w zimie. Pytamy o owe ubikacje; słyszymy odpowiedź, że mieszkańcy sami są winni, gdyż zanęcając je śmieciami, odpadkami, mimo że przecież są noubudowane wcale wygodne śmietniki. Jak się żyje w Kolumnie? W lecie ludzie zarabiają na letnikach. Odnajmują mieszkania za 1.500—2.000 zł — a komorne w-nosć za 1 m² 65 groszy. W ogóle GRN z letników nie ma korzyści poza kłopotami związanymi z meldowaniem. Dobrze by było, żeby wreszcie zdecydowano: czy to wieś czy

**DALSZY
CIĄG
na str.
10**

Pamiętnika Anny ciąg dalszy

Pamiętnik Anny Frank, autentyczny dzienniczek dziewczynki przeżywającej wraz z rodziną i znajomymi prześladowania Żydów w okupowanej Holandii, wywarł w Polsce, jak i na całym świecie, wstrząsające wrażenie. Książki tej darmo dziś szukać w księgarniach, a o wznowieniu, niestety, jeszcze nie słychać. W tych dniach Łódzki Teatr Powszechny, jako trzeci w Polsce, wystawia montaż sceniczny Frances Goodrich i Alberta Hacketta „Pamiętnik Anny Frank”, co wskazuje na to, że zainteresowanie tym tematem nie słabnie.

Krótką notę edytorską umieszczoną na końcu „Pamiętnika” mówi w paru słowach o dalszych losach Anny Frank. W cztery dni po ostatnim wpisie do pamiętnika policja hitlerowska wtargnęła do kryjówek, gdzie Anna i jej najbliżsi przeżyli 25 miesięcy. Dziewczyna zmarła w obozie koncentracyjnym Bergen-Belsen, na kilka tygodni przed klęską Niemiec hitlerowskich.

Mieszkający w Anglii dziennikarz Ernst Schnabel postanowił szczegółowo odtworzyć ostatnie miesiące życia Anny i w ten sposób dopisać jak gdyby dokonanie jej pamiętnika. W tym celu odbył podróż do Amsterdamu, przeszedł cały szlak, który wcześniej przebyła Anna po aresztowaniu. Rozmawiał przy tym z 42 osobami, które znały Annę, względnie przebywały z nią razem w obozach. Odwiedził również w Szwajcarii jedynego pozostałego przy życiu członka rodziny Franków, ukochanego ojca Anny — Otto Franka.

Poniżej staram się w wielkim skrócie przekazać wyniki poszukiwań Schnabla w oparciu o relację tygodnika „Life”:

4 SIERPNI 1944 ROKU

W tym dniu policja hitlerowska wykryła kryjówek Franków, Van Daanów i Dussla. Odbyło się to w godzinach rannych, tuż po spożyciu przez ukrywających się skromnego śniadania złożonego z kawy zbożowej i chleba. W tym czasie we frontowym budynku w pomieszczeniach biurowych pracowały jak codziennie cztery osoby. W jednym pokoju siedzieli: młoda mężatka Miep, przystojna 23-letnia stenotypistka Elli i pan Koophuis. Dyrektor firmy Kraler przebywał w swoim gabinecie. Pamiętamy, że wszyscy oni z narażeniem życia dopomagali Frankom i Van Daanom ukrywającym się w oficynie budynku.

Elli, dziś już matka, kobieta o rubensowskich kształtach, ale wciąż jeszcze bardzo ładna, opowiada Schnablowi:

„Właśnie wpisywałam korespondencję do dziennika, kiedy przed domem zatrzymał się samochód. W tym nie było jednak jeszcze nic szczególnego. Usłyszałam, jak otwierają się drzwi wejściowe i ktoś wchodzi po schodach...”

Mówi Miep:
„Kroki wielu osób usłyszeliśmy na korytarzu, po czym otworzyły się drzwi od gabinetu pana Kralera, gruby mężczyzna wsunął głowę i powiedział po holendersku: „Spokój. Proszę siedzieć na swoich miejscach...”

Z zamieszkałym obecnie w Kanadzie Kralerem nie rozmawiałem bezpośrednio. Dostał jednak od niego list z Toronto, w którym czytamy:

„Do mego gabinetu wszedł sierżant sztabowy policji niemieckiej i trzech osobników w cywilu. Kazali mi iść za sobą. Sierżant poszedł w głąb korytarza, gdzie półka z książkami maskowała wejście do oficyny, zatrzymał się i kazał mi odsunąć półkę — Przecież tam nie ma — powiedziałem, ale po-

licjanci już sami odepchnęli półkę, odsłaniając drzwi. Kazano mi iść przodem po schodach, przy czym sierżant przytknął mi pistolet do pleców. Panią Frank zastaliśmy stojącą przy stole. Uczyniłem wielki wysiłek i powiedziałem: — Przyszło gestapo”

Dalszy przebieg wypadków opowiedział Otto Frank. Schnabel określa go jako bardzo przystojnego mężczyznę. Dziś Frank liczy 68 lat, ożenił się powtórnie. Systematycznie odpisuje na wszystkie listy, które poczta przynosi mu z całego świata jako ojcu Anny.

„Byłem na poddaszu w pokoiku Piotra, z którym odbywałem lekcję angielskiego i gniewałem się właśnie na niego za błędy, jakie popełniał, kiedy usłyszałem na schodach głośne kroki. Ponieważ o tej porze w oficynie obowiązywała cisza, wybiegłem na schody, by sprawdzić, kto łamie nasze wewnętrzne przepisy. Ujrzałem obcego mężczyznę, który przystawił mi łufę pistoletu do piersi. W pokoju na dole zebrał się już wszyscy. Moja żona, dzieci i Van Daanowie stali pod ścianą z rękoma podniesionymi do góry. — Kosztowności! — zażądał policjant w uniformie. Po-dalem mu pudełko, w którym schowane były pieniądze i biżuteria. On tymczasem znalazł teczkę, w której Anna trzymała swój pamiętnik, nowelki, które pisywała i zaczęła powiesić. Policjant wysypał to wszystko na podłogę i schował do teki biżuterię. — Idziemy — powiedział”.

Kto mógł zdradzić po dwóch latach kryjówek? — zadaje pytanie Schnabel. Nie udało mu się tego z całą pewnością stwierdzić, choć wiele poszlak wskazuje na niejakiego M., który zaczął pracować u Kralera już po zajęciu oficyny przez Franków i Van Daanów. Znalazł on któregoś ranka w gabinecie Kralera teczkę, pozostawioną tam przez pana Van Daan wieczorem, gdy mieszkańcy oficyny wchodzili na teren biura. Kraler twierdził, że to jego teczka, ale



Pani de Wiek z córką przygląda się Frankom po ich przybyciu do Westerborku.

to nie uspiło podejrzeń M. Po wojnie stał on przed sądem, oskarżony o zadencjonowanie Franków, ale zwolniono go z braku dostatecznych dowodów.

Miep i Elli po odkryciu kryjówek nie były aresztowane. To one w kilka dni później odnalazły i zabezpieczyły pamiętnik Anny. Koophuis przebywał parę tygodni w więzieniu, skąd zwolniony został warunkowo ze względu na stan zdrowia. Kralerowi udało się zbiec z obozu koncentracyjnego.



Selekcja w Oświęcimiu. W świetle reflektora Anna, obok Margot.

Rysunki TOMA ALLENA.



Anna w Oświęcimiu

WESTERBORK I OSWIECIM.

Wróćmy do losów Anny. W głównej kwatrze gestapo przesłuchano aresztowanych krótko, ale przetrzymano ich na miejscu przez kilka tygodni. Potem odprowadzono całą ósemkę na dworzec i zwykłym pociągiem osobowym przewieziono ich pod eskortą do obozu w Westerbork, oddalonego o około 150 km od Amsterdamu.

„Podczas podróży — opowiada pan Frank — Anna stała bez przerwy przy oknie. Dusznie chłonięła świat, którego nie widziała przez dwa lata”.

W obozie Westerbork, gdzie zwożono Żydów z całej Holandii, Anna i jej najbliżsi pozostawali przez trzy tygodnie. Znajoma ich, pani de Wiek, która przebywała w tym „amym obozie, opowiedziała Schnablowi, że Anna była w tym czasie pogodna i wyglądała wręcz ślicznie. Prawie stale widywano ją w towarzystwie Piotra Van Daan, przy czym uczucie obojga wydawało się pogłębiać.

W początku września Frankowie wraz z całym transportem Żydów wyjechali do obozu śmierci w Oświęcimiu. Tutaj oddzielono natychmiast kobiety i mężczyzn. Anna nie zobaczyła już więcej ojca ani Piotra.

W straszliwych warunkach oświęcimskich, ciężko pracując fizycznie i na wpół głodując, Anna — jak określa pani de Wiek „zachowywała twarz”. Miała w sobie wiele godności i współczucia dla innych. W końcu października w czasie jednej z selekcji Annę i jej siostrę Margot włączono do transportu, który miał opuścić Oświęcim. Pani Frank i pani de Wiek pozostały na miejscu, ale matka Anny zmarła w dwa miesiące później wycieńczona głodem.

Losy innych mieszkańców oficyny były następujące: pan Frank, jedyny który ocalał, widział jak Van Daan prowadzą do komory gazowej, Piotra podczas ewakuacji obozu w styczniu 1945 r. pogнали SS-mani pieszo wraz z grupą więźniów na zachód. Odtąd wszelki ślad po nim zaginął. Dussel umarł w jednym z obozów na terenie Niemiec.

BERGEN — BELSEN

Anna i Margot wywiezione zostały do obozu w Bergen — Belsen, położonego w pobliżu Hannoveru.

W pamiętniku Anna często wspomina przyjaciółkę Lies Goosens. Los, zetknięcie obce dziewczyny raz jeszcze w tym obozie. Lies, dziś żona oficera armii izraelskiej, opowiada:

„Dowiedziałam się, że do sąsiedniego bloku przybyli nowi. Poszłam pod druty i pytałam, czy nie ma kogoś z Amsterdamu. Zgłosiła się pani Van Daan i obiecała przywołać Annę. Istotnie po chwili usłyszałam w ciemnościach głos Anny. Dowiedziałam się, że nowo przybyli są głodni i ubrani tylko w łachmany. Umówiłam się z Anną na następny wieczór i rzuciłam jej przez druty sweter, trochę ciasta i cukru. Ale jakaś więźniarka była szybsza, pochwyciła paczkę i uciekla. Na następny wieczór udało mi się dostarczyć Annie już tylko skarpetki i trochę ciasta. Więcej sama nie miałam”.

W lutym w Bergen-Belsen wybuchła epidemia tyfusu. Pierwszą padła jej ofiarą Margot. O śmierci Anny, która musiała nastąpić w początkach marca 1945 r., Schnabel nie zdołał uzyskać żadnych bliższych informacji. Prawdopodobnie na przyspieszenie końca wpłynęła wiadomość o śmierci Margot. Pochowano ją we wspólnej mogile z 30 tysiącami innych więźniów.

Opis tragicznych dalszych losów autorki pamiętnika neglecta jeszcze wymowę tego jedynego w swoim rodzaju dokumentu, spisanego ręką dziecka, a nie hedagiego najnoważniejszym oskarżeniem zbrodni wojennych faszystów.



Nr 1

Rozpoczynamy: Korespondencyjny kurs języka plastycznego

A
Aaa — spontaniczny głos ludzi na wystawie pewnego łódzkiego plastyka.
Abakadabra — jak wyżej.

Chwileczkę... Gdzieś zawieruszyl się ciekawy list... Aha.

... widzieliśmy obraz przedstawiający lekcję w szkole baletowej. Wiecie chyba, jak to wygląda — jeszcze raz, i jeszcze raz. Ciężki wysiłek, wymięte, spocone twarze. Ale na obrazku tancerekki uśmiechały się rozkosznie, były różowe i śliczne n'by porcelanowe figurki. Jawnie kłamstwo. Irytujące.

Dla żartu ktoś zawiesił malowidło do góry nogami. I, o dziwo, choć scena straciła sens, obraz na tym zyskał. Przekształcił się w n'eokreśloną mozę, lecz bardzo piękną mozaikę, przypomniał jakiś barwny bukiet, ułożony z dużym smakiem...

Uwaga, uwaga: jesteśmy na tropie tajemnicy.

Co się n'e podobało autorowi? — Przedmiot obrazu.

Co mu się podobało? — Wartości plastyczne.

Kiedy czytamy powieść kryminalną, kiedy oglądamy sensacyjny film, n'e dbamy, jak to jest zro-



bone. Przeciwnie, to by nam raczej przeszkadzało w śledzeniu fabuły.

Od książki naukowej wymagamy rzetelnych informacji. Lubimy, gdy jest napisana przystępnie, ale nie szukamy w n'ej wzruszeń estetycznych.

Jeżeli oglądamy obraz historyczny, portret wybitnego człowieka, lub nawet ładny pejzaż — zajmuje nas przede wszystkim temat. Konfrontujemy go z rzeczywistością znaną nam z doświadczenia, sprawdzamy, czy jest prawdziwy, czy tylko prawdopodobny. To może być bardzo pouczające. Ale co to ma wspólnego z malarstwem?

Dźwięczny lub, jeśli potrzeba, głuchy; kolor, stonowane lub kontrastowe zestawienie barw, urozmaicona faktura, piękna linia — płynna lub zamasyzta — prawidłowe przeciwstawienie płam jasnych i ciemnych, ciepłych i zimnych, umiejętnie stopniowanie wielkości poszczególnych form, uporządkowany, czytelny układ motywów — oto istotne i konieczne cechy dobrego obrazu niezależnie od tego, co przedstawia.

A jeśli n'e n'ie przedstawia, ale zawiera wszystkie wyszczególnione wartości?

Człowiek odpowiednio uważył-

wony potrafi wzruszyć się pięknym doborem słów w poszli, człowiek muzykalny odczuwa radość słysząc piękne następstwo tonów. Wrażliwość taka nie zawsze bywa wrodzona, można ją w sobie wyrobić.

To samo odnosi się do malarstwa. Jeżeli n'e jesteśmy upośledzeni fizycznie, słyszymy i widzimy. Ale to nie znaczy, że mamy wyrobiony słuch i wzrok, że jesteśmy przygotowani do odbioru muzyki i plastyki.

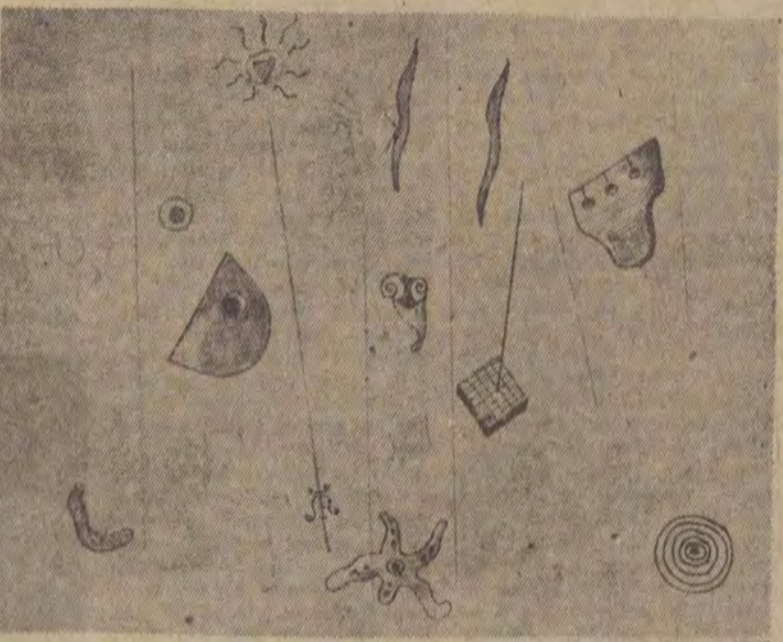
Dlatego każdy człowiek z pewną dozą doświadczenia życiowego rozumie to, co estetycy nazywają warstwą przedstawieniową obrazu, ale tylko ktoś wyrobiony plastycznie potrafi dostrzec piękną dzieła abstrakcyjnego.

d. c. n.

ZAPOWIADAMY:

- wiadomości z Łodzi, z kraju i ze świata,
- recenzje z wystaw,
- niedyskrecje z pracowni,
- wypadki w teren,
- skrzynkę załatwi.

Piszcie do PALETY



Jerzy Kujawski



Czesław Sadowski

W KRAINIE ODLEGŁYCH SKOJARZEŃ



WACŁAW MROZOWSKI

Z cyklu „Z Jahnem Barleycornem”

XXIX

To popołudnie już sierpniowe,
gdy wiatr brzozowy w Sokolnikach
przewiewa alkoholem głowę
jak zastyszana gdzieś muzyka,

na pamięć wciąż przywodzi młodzież
barleycornowską, ale smutną,
wierzby nad jakąś rdzawą wodą,
samotne tak jak zawsze jutro.

Wieczorem John z wędrowki wróci,
zajrzy do chaty krytej słomą,
w ramiona mi się dziko rzuci
jak szatan kusząc po kryjomu.

Jak oprzeć się przyjacielowi,
gdy wiatr brzozowy dmie złowieszczco?
I co pomyśli, i co powie
dziewczyna, którą kocham jeszcze,

gdy nas zobaczy? Pewnie będzie
niebieskim okiem smutnie patrzeć,
naprzeciw mnie bez słów usiadzie,
aby milczeniem dzień ten zatrząść.

przypisane Irenie Gerling

TADEUSZ GICGIER

BASEN

Tutaj zbiegli się wszyscy na zamknięte lata,
jakby wiedząc, że więcej dni takich nie będzie.
Basen jak koło szczęścia, miniatura świata,
kręci się i ku słońcu obraca w rozpędzie.

Miesza się z szumem wiru pisk, bryzgają śmiechy,
kipi woda w betoncie, jak w wielkiej retortce.
A na piasku parada, która oko cieszy,
spojrzenia odbijane jak piłki na korcie.

Bez większego powodzenia walczy nowoczesność o swoje miejsce na ziemi polskiej. Ciężka jest droga tych, którzy idą za T. S. Eliotem, Franzem Kafką czy Braque'iem. Ofensywę nowoczesnych spotkało nieoczekiwane niepowodzenie właśnie tu, na drogach środkowej i wschodniej Europy, gdzie postępową myśl społeczną zaszła w swej praktycznej realizacji tak daleko. Dziwne to zjawisko i dlatego godne wnikliwej analizy i szerokiej dyskusji, jak dotąd, niestety, nie podjętej.

Ale ofensywa nowoczesnych — jak dotąd — jeszcze trwa. Także i na terenie Łodzi. Tej najniewdzięczniejszej Łodzi, gdzie mają się kiepsko świetni artyści malarze, ci, którzy nie chcą mamlić ludzi jarmarcznią uciechą kolorowych jeleni i pocztówkowych pejzażyków. O sztuce małżeństwa Kondków pisano już wiele. Dziś kolej na Henri Poulaine'a i Czesława Sadowskiego. Oni to bowiem wystawili około setki swych monotypii w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.

Niewtajemniczoną warto więc dziś — z okazji tej wystawy — przypomnieć, że Czesław Sadowski miał już w 1929 r. wystawę w Paryżu, a Poulaine to rodowity paryżanin, który mimo łódzkiego obywatelstwa głosował w De Gaulle'owskim referendum (sam nie był pewien jak, ale przecież to jego sprawa). Sadowski studiował w Warszawie i Paryżu, a wystawę jego odwiedzały panie Maria Mickiewiczówna i Maria Curie-Skłodowska. Poulaine po studiach w Ecole des Beaux Arts odwiedził pracownie wszystkich wielkości Paryża. Uczył się u nich wiel-

kiej sztuki, twórczego intelektualizmu. Dlatego nie tak łatwo pobratać się ze sztuką Poulaine'a i Sadowskiego. Stąd mój tytuł „W krainie odległych skojarzeń”. Ale spróbujmy. Pomogą nam w tym sami twórcy.

Mówi Czesław Sadowski:
— W malarstwie swoim nie neguję formy i kompozycji, ale najwyższą rangę

ma u mnie kolor. Obraz to koncert barw. Wciąż następuję tej muzyki, staram się ją przelewać na płótno.

Tyle autor. Szkoda, że niektóre jego utwory, takie, jak „Don Kichot” i „Koncert Paganiniego”, sprzedano, zanim jeszcze doszło do wystawy. Warto by je w oryginale zobaczyć. Wiatrak w „Don Kichocie”, to jakis



Henri Poulaine

środek świata — to słońce z którego dobywa się tęcza. Teraz wierzymy, że ruszy niebawem w świat szalony rycerz. Pociągnie go to źródło piękna. Siła tych wibrujących kręgów jest naprawdę nieprzeparta.

Henri Poulaine wystawił z kolei swoje nadrealistyczne poezje. Znajdujemy wśród nich jak zwykle dwie czy trzy „Pulniki”. To urocze dziewczęta, o długich szyjach, z końskim ogonem. Jest „Ptak Itaki”, bożek pogański „Idole payenne”, kompozycje kosmiczne i wiele, wiele przedstawień nierealnego świata.

A oto co mówi o swojej sztuce Poulaine:

— Tematykę czerpię z moich marzeń, z podświadomości, z radości wewnętrznej. Z tych wielu ludzkich stanów psychicznych, które pobudzają wyobraźnię. Myśl ludzka jest bezgraniczna i nieograniczona. Dlatego wciąż szukam i stale wykrywam nowe skojarzenia, między tym wszystkim, czego doznaję na codzień. Trudno tu więc o próbę identyfikacji czy systematyzacji.

Henri Poulaine wierny jest nadrealizmowi. Pod jego pędzlem powstaje cały świat najprzedziwniejszych kompozycji. To jakieś tajemnicze zjawy ze świata baśni, to znów jakieś marzenia o kosmosie niezgłębionym, dalekim, a przecież już bliskim. Artysta stara się dostrzymać kroku uczonej. Astrofizykom i tym, którzy „rozpracowali” już wszechpotężny atom. Twórczość Poulaine'a to twórczość nowej ery. Ery atomu i lotów kosmicznych. Tak też trzeba by na nią patrzeć.

Naprawdę, wypada zachęcić czytelników do obejrzenia ciekawej ekspozycji, a także do kupowania monotypii Poulaine'a i Sadowskiego. Wystawa ma bowiem na celu pokazanie twórczości artystów. Chodzi także o to, żeby umożliwić młodzieńcom codzienny kontakt z nowoczesnością, codzienną podróż w krainę odległych, a jakże nam bliskich skojarzeń.

WŁODZIMIERZ S. MAREK

Śpieszę wyjaśnić

(Dokończenie ze str. 2)

wspólnie z kierownikiem szkoły zrobiliśmy przegląd tego, czym szkoła służy w zakresie opieki i pomocy dziecku, aby warunki bytowe nie utrudniały nauki. Oto wyniki naszego przeglądu:

Pierwsze. Szkoła nie brała dotąd pod uwagę w swoich rachubach, gdy chodzi o obowiązek powszechności nauczania i zapewnienie powodzenia szkolnego — sytuacji materialnej i opiekuńczej dziecka. Prosta logika nakazuje jednak sytuację tę uwzględnić, gdyż one warunkują powszechność i powodzenie dziecka w szkole.

Drugie. Szkoła w zasadzie nie jest uczulona na wykrywanie potrzeb bytowych dziecka, ani nie jest wyposażona w możliwości bezpośredniego ich zaspokajania lub choćby pośredniczenia w zaspokajaniu. Za owo uczulenie nie można uważać istnienia w szkole tzw. opiekuna społecznego — jednego spośród nauczycieli, gdyż praktycznie rola jego ogranicza się do przeprowadzenia raz na kwartał wywiadów u kilkorga dzieci (w danym wypadku u sześciorga) — sierot i półsierot, którym inspektorat wypłaca zapomogę po 150 zł kwartalnie.

Trzecie. Szkoła dysponuje następującymi świadczeniami opiekuńczymi: świetlicą, dożywianiem, pracą poza szkolną tzw. kół zainteresowań oraz zapomogami, ale...

Świetlica, z góry limitowana w tej szkole na 60 uczniów, już w samym założeniu nie starcza dla wszystkich potrzebujących. W istocie swej jest przeznaczona przede wszystkim dla dzieci rodziców pracujących. To raczej „przechodnia” dziećmi na czas pracy ojca i matki. Pomoc w nauce dziecku jest tu problematyczna.

Dożywianie w szkole prowadził się dwójako — w świetlicy, gdzie można jeść obiad za 2,60 zł (częściowa odpłatność rodziców). Liczba tych obiadów jest ograniczona. Aby korzystać z nich, trzeba specjalnego potwierdzenia zakładu pracy rodziców oraz zakwalifikowania przez — w istocie fikcyjną — komisję kwalifikacyjną. Druga forma dożywiania to mleko, bułka lub kawa dla „biednych” z funduszu przydzielanych ze skarbu państwa. Fundusz ten jest również z góry limitowany, tzw. popularnie metodą „pi razy oko” — w danej szkole wynosi on 1500 zł na kwartał, a więc zenująco mało. Czy można więc mówić o równych szansach?

Koła zainteresowań z reguły nie mają charakteru opiekuńczego, w większości szkół noszą charakter wychowawczy (balet, tańce, pokazy).

Zapomogi przydziela się jedynie na tzw. rodzinny zastępcze (sieroty i półsieroty) po sto pięćdziesiąt złotych kwartalnie. Znowu zenująco mało. A reszta potrzebujących? Są więc równe szanse?

Rozpatrzenie potrzeb opiekuńczych i realnych możliwości szkoły nasunęły kierownikowi szkoły i mnie szereg refleksji oraz pomysłów, lecz abym mógł je przedstawić, trzeba mi miejsca na jeszcze jeden felieton. O tych bardziej konstruktywnych zamiarach — za tydzień.

JAN SZARAK

Na trampolinę wchodził prężny kot — kobieta
zapięta w dwie przepaski o grzesznym uroku.
Zaraz rzuci swe ciało wzwzrost i w dół, na przetarg,
bo to szansa niezwykła, ostatni dzień w roku.

Lecą barwne motyle ku nadziei kwiatom,
koluje żywa kula w mdlejącej przestrzeni,
a gdy sięgnie południa, wtedy — ziemski atom —
spadnie i się rozbił na cząstki jesieni.

EDMUND PIETRYK

Dla nas tu chyba nie ma miejsca
wśród nieustannych z światem kłótni.
Gdy drzwi nam pokazano, chodźmy —
komuż potrzebni ludzie smutni?

Świat pozostawmy dla szczęśliwych,
dla silnych rąk, dla serc bez rany
i że tak mało jest miłości
świat pozostawmy dla kochanych.

Włec bez zwycięstwa i bez klęski,
musimy odejść sami, skrycie
od życia złego, jak cierpienie,
z cierpieniem naszym, złym jak życia,



DO PRZYJACIOŁ

I znów mi niespodzianie cios
wymierzył szybki zdarzeń prad.
I znów mam w ustach cierpka gorzyc
mamo! Och, mamo! Weź mnie stąd!

To krwawy wiek, karabinowy.
to nieczłowieczy czas wykłęty.
Od klęski mnie przedwczesnej wybaw,
od ludzi zabierz obojętnych.

Broń mnie smutnoklego syna
od grzmotu nadchodzących burz.
Boję się, mamo, pijanych myśli!
Clasna jest pęta! Ostry nóż!



Paul Hindemith (NRF)



Artur Honegger (Szwajcaria)



Dymitr Szostakowicz (ZSRR)



Alban Berg (Austria)



„WARSZAWSKA JESIEŃ MUZYCZNA”, jak sama nazwa wskazuje, jest imprezą w czepku rodzona.

Po pierwsze: „WARSZAWSKA”, a więc na skrzyżowaniu tradycyjnych dróg (nie tylko kultury), zwłaszcza między Wschodem i Zachodem.

Po drugie: „JESIEŃ”. Mocne brawo za „Jesień”! Początek sezonu koncertowego. Wakacyjni konsumenci tzw. cudów natury marzą o przedzierzgnięciu się z powrotem w konsumpcję sztuki, zbrojni w świeży zasób ciekawości i... cierpliwości.

Po trzecie: „MUZYCZNA”, czyli wprowadzająca w jedną z najciekawszych problematyk sztuki współczesnej. Dająca obraz muzyki dzisiejszej. Ale tu przechodzimy już od cech wrodzonych dziecięcych, do zalet osiągniętych sukcesami pedagogicznymi p. t. organizatorów i działaczy.

Omdwienie II Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej winien chyba poprzedzić krótki traktacik na temat pojęcia „współczesność”. Jedną współczesność ograniczają do muzyki elektronicznej, „konkretniej” i punktualizmu (o czym będzie mowa poniżej). Inni współczesność umiejscawiają w czasie mniej więcej gdzieś od narodzin impresjonizmu muzycznego (około 1892 roku). I to nie tyl-

ko zgrzybiałi starcy. Aby nie komplikować sprawy, zgódźmy się beztrudno nazwać „współczesną” całą muzykę naszego stulecia i przejdźmy do samego festiwalu.

Największą bodaj zaletą tegorocznego festiwalu było stworzenie dość obszernego i przejrzystego obrazu muzyki naszego wieku. Najpocześniejsze miejsce w programach zajęła „wielka trójka” dodekafonistów: Arnold Schoenberg, Alban Berg i Anton Webern. Dodekafonizm, jedyny całkowicie autonomiczny kierunek nowatorski w muzyce naszego wieku, powstał na gruzach bez reszty wyeksploatowanego (zdzianiem reformatorów) tradycyjnego systemu tonalnego dur-moll, liczy sobie lat blisko pięćdziesiąt. Zdobyłszy technikę dodekafonizacji, opartej na serii dwunastu równo ugrupowanych półtonów w oktawie, głęboko wniknęły w naszą świadomość muzyczną. Obszerny przegląd najwybitniejszych dzieł dodekafonistów (m. in. „Pierwszy psalm nowoczesny” i kantata „Ocalały z Warszawy” Schoenberga, Koncert skrzypcowy Berga, „5 utworów na kwartet smyczkowy” Weberna) dobitnie świadczy o najwyższym randze tej muzyki i tym sa-

mym o całkowitej przydatności techniki dodekafonizacji. Przewidywano, że tylko bezsilnie zgrzytać zębami na widok entuzjazmu sali po wykonaniu kantaty „Ocalały z Warszawy” (powtórzony w całości). Dodekafonizm bisują? — świat się wali! Inna rzecz, że ten Schoenberg, Berg czy Webern to byli chyba „niewawsko utalentowani” ludzie.

Ale dodekafonizm nie jest już najnowszym słowem w muzyce. Jest nim punktualizm oparty o specyficzną twórczość Weberna. Przy zastosowaniu techniki dodekafonizacji punktualizm wykształcił swoją „estetykę punktu”, estetykę skojarzeń pojedynczych, oderwanych brzmień. Sztandarowi punktualiści (Niemiec Stockhausen, Francuz Boulez, Wioch Nono) pracują jedno-

LUNAPARK

Złota myśl Cezarego Cwicija: „Nie zasypiajmy gruszek w popiele”. Kalendarzyk tygodnia:



Lunapark redaguje Zygmunt Fijas. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Listy prosimy kierować: „Odgłosy” z adnotacją: „Dla Lunaparku”.

EROTYZM w filmie



Ewerysta, Lucjana (imienny Lucjana z Samosaty i Juliusza Lucjana Kydryńskiego z „Przekroju”).

Wiatry od kierowników zachodnich. W dalszym ciągu jajo jest mędrze od kury i obzary wysokiego ciśnienia zalegają pokłady niskiego napięcia. Barometry wskazują to samo ciśnienie w cieniu, co w słońcu. Alert ogłosi się po zaplaceniu przez Dyрекcję Międzynarodowego Roku Geologicznego zaległych należności za ogłoszenia. Z tych samych powodów nie drukujemy komunikatów „Met-szyb” i o stanie wód. Do dyrekcji „Milenium” osobnych upomnień wysłać nie będziemy. (Jak nie ma subwencji dla „Lunaparku”, tego organu „Tysiąclecia Polski” to jest to szczególnie z precedensem, ale bez istotnego znaczenia. Za propagandę trzeba płacić artystom malarzom).

Z przygotowującej do urzeczywistnienia adaptacji powieści Heleny Mniszek „Tredowata” uostępniamy czytelnikom fragment rozmowy pomiędzy byłą Ordynatową Stefcją Michorowską, później rozparcelowaną małżonką spadochroniarza Jacka Gularda, przyjaciółką Sumary byłego marszałka dworu et caetera, et caetera, a byłym kamerdynerem Mikołajem Bombą. Dialog poprawiał Krzysztof Drużewski bezpośrednio po przeczytaniu rozmów, jakie miał gajony z lady Chatterley (czytaj powieść Lawrence’a „Kochanek lady Chatterley” i oglądaj film pod tym samym tytułem, z żoną znakomitego sir Lawrence’a Olinara w tytułowej roli).

Bomba (z dubeltówką przerzuconą przez jedno ramię i kocem na drugim ramieniu): — A wiec idziemy na rydze, Stefa, capierona.

STEFANIA (znękanym głosem): — Wczoraj przecież mówiłeś, że jesteś za bardzo wyrażpłowany...

BOMBA: Wczora byłym zheblowany do imentu, ale

dziś dziś weńk mom rychtyg...

STEFANIA: Dlaczego nie wzięłeś angielskiego pledu w kratkę, tylko ten koc krajowej produkcji?

Bomba: Cicho, Stefcju! Nie gadoj tyle o tej darce... Chodźwa!

(Wchodzą pod górę. Bomba ma na sobie skózaną possowską kurtkę, galicyjskie „rajtki” i sztylpy, opięte tegimi, rzemiennymi paskami. Stefania jest w peniuarze).

Bomba: Co cię tak tapnęło, że nic nie rzykos? Rzykoj coś. Nie słyszysz, jak dzirgole piykanie śpiewajom?

STEFANIA: Ja nie wiem, dlaczego wzięłam na siebie to brzemię? Zalewa mnie ocean szczęścia, kiedy o tym myślę, Mikołaju.

Bomba: Grynie śprechos, ale dłocego te głąpy tak niepotrafnie otwierają swe japy? Tak nie lubię głąp. Żebym je wszyskie powysrzył. Przytul się do mnie.

STEFANIA: Miły mój.

Bomba: Sapiernie ty mój. (Trwają niemo z ustami zwartymi i rękoma zaplęcionymi na swych szyjach. Z daleka dochodzi namolny

Gimna Styka

ćwiczenie mięśni tydek przez pozostawanie w pozycji kucającej w ciągu 15 minut. Nadymanie termoforów z nprzemiennym dmuchaniem w karafkę. Zucie opon samochodowych.

CHEMICZNY I ENERGETYCZNY SKŁAD DOBOWY DIETY ODCHUDZAJĄCEJ ROBINA

Pomnożona przez dziesięć dieta Robina dla chudych: mięsa 2 kg 900 gr, 40 jaj 25 dkg chleba, 2 kg salaty, 1 kg jabłek, 2 kg wina czerwonego, 40 filiżanek herbaty (8 kg), kalorii 9.740.

„Ale w jaki sposób zdobyć pieniądze na taką trzymiesięczną kurację?” zapyta krytycznie usposobiony czytelnik.

— Nie wiem! — odpowiemy. — Chyba grać w Totolotkę, albo nadal uprawiać grę w loterie klasową, ale w żadnym wypadku nie kraść!

— Nie kraść! Nie kombinować, tepię złodziei na każdym kroku i na własną rękę, jeszcze raz krzyczymy: nie kraść! a nie będziesz tył. Ty gruby Czytelniku z Warszawy, który zapytałeś o przyczyny swego tycia na stanowisku magazyniera w Zjednoczonych itd. (Nazwa przedsiębiorstwa w posiadaniu redakcji).

Kącik dla oTyłyCh

Wśród licznych listów z pogróżkami (ich autorom wydaje się, iż pod płaszczykiem bezpłatnych porad ukrywamy swe wrodzone zamiłowanie do szyderstwa) znajdując się i takie, co zrodziły się w oparach uwielbienia dla niniejszej rubryki. „Dlaczego jednak — zapytuje nas jedna z naszych szepczących czytelniczek — nie otworzyliście kącika dla chudych? Przecież gdybyśmy na jednej szali postawili chudą część naszego społeczeństwa, na drugiej — spasioną, szala tłusta opadłaby w dół, pomimo słabej liczebności grubasów, chuda zaś

odgłos ludzkiej pracy w PGR.

Słowniczek wyrazów obcych do tej rozmowy:

Wyrażpłowany, zheblowany — rozbity, zmęczony derka — koc rajtki — brzozy, spodnie do jazdy konnej

Peniuar — domowe, lekkie, przeważnie przejrzyste wdzienie kobiece, dzisiaj uliczne i męskie niekiedy

Tapnęło — kolnęło, zdernerowało.

Dzirgole — ptak inaczej vogel, nie mylić z popularnym w Łodzi „ma fogla”

Sprechać grynie — dobrze umieć mówić.

Głąpa — wrona

Werk mom rychtyg — lepiej się czuje, jestem w dobrej kondycji

Sapierne ob. ob. Śląska

Namolny — do czasu ukazania się całego Słownika Języka Polskiego wyraz dla redakcji obcy i nieprzetłumaczalny.

Do imentu — zupełnie, do kresu wytrzymałości.

Chodźwa — chodźmy, pojedźmy.

Odpowiedzi redakcji

Teresa ZMP z Włóczysk PGR. Ciepły, zimowy sweter w jednym kawalku dla obojga bliźniaczków to odświeżający pomysł.

Ryszard Bassamper. Kłoda. Dziękujemy za kosztownych gruszek.

Aniela Władysłowska, Glasgow, Common Wealth of Great Britain. Cieszymy się z okazji wstąpienia Pani w związek małżeński z tamtejszym orkiestrą dętych i rozmawiania się obecnego Pani męża w Pani w czasie wykonywania przez Panią walców „Na stokach Mandżurii” na B-Basie.

wyrzuciłaby swą zawartość w niebiosa z siłą bomby kołtowo-wodorowej. Komu mutatis-mutandis — służy prasa? Większości czy znikomej garstce?”

Wszystkim służy o kształtna miss universum Peimla! Ale skoro pragniesz utyć, pomóż wszystkim dobowe porcje naszych diet odchudzających przez dziesięć i konsumuj je z niesłabnącą wiarą w potęgę dobrego jedzenia (w celu regularnego przyjmowania porcji nocnych dobrze byłoby sprawić sobie budzik) a skutek nie da na siebie długo czekać.

(Dokończenie na str. 8)

czytność. Często ją zastępuje. Bo czytelnik pragnie mitów. Chce mieć książkę ale na sylwecie jej autora. Franz Kafka nie dbał o popularność. Nie tworzył mitu własnej postaci. Wyrezyrował go. Kto czytał Franza Kafkę? Niewiele. Kto mówi o nim? O, prawie wszyscy. Kafka, powiadam, nie stworzył własnego mitu. Inni okazali się bardziej rzutcy. Na przykład Hemingway. Tutaj widać jak na dłoni, ile pisarz zawdzięcza podróżnikowi. Myślny, goliący na lwa, jest nie tyle jakim organizatorem poczty własnych utworów. Z tym, że ten nieustraszonego łowcy przygód zdaje się być podziwiany tegim sentymentalista. Dla czytelnika to nawet lepiej.

Ale wróćmy do Becketta. Ten także tworzy mit. Mit pisarza nieznanego. Chce być pisarzem, o którym niewiele wiadomo. Uduje mu się to. Był sekretarzem Joyce'a. Debiutował przed ostatnią wojną powieścią „Watt”. Później Beckett przez długie lata nie wydaje. Przestał pisać? Być może po prostu zmienił język. Bo po wojnie zadebiutował powtórnie — i to tym razem w paryskiej „Edition du Minuit”. Ukazują się, wszystkie w języku francuskim. „Murphy”, „Molloy”, „Malonne meurt”, „L'innombrable”, „Nouvelles et textes pour rien”. W roku 1953 pisze „Czekając na Godota”, następnie „Koncówka”, „Czekając na Godota” tłumaczy sam na język angielski — nowy tekst odbiega od wersji francuskiego oryginału — i dopiero to tłumaczenie ujawnia związek Becketta z dramatem angielskim. Piszsz to wszystko, Beckett unika znajomych, nie ma przyjaciół, prawie się ukrywa — tworzy legendę człowieka nieznanego. Ale ten mit o samym sobie idzie u Becketta w parze z jego pisarstwem, godzi się z tezami filozoficznymi jego dramatu i prozy. Bo i cóż głosi Samuel Beckett? Absolutną bezwartościowość człowieka. Człowiek nie znaczy nic, nie znaczy produkty jego pracy, także literatura i sztuka nie ma żadnego znaczenia. Do takich uogólnień prowadzi lektura wydanych ostatnio „Nowel” Becketta. A dramata? Dramat ekspozycyjny tylko zasadnicze idee prozy. Ale mówić o tym, że egzystencja jest bezwartościowa i nonsensowna, można różnie: z patosem, z tragicznym rozżaleniem, z drwiną. Beckett komunikuje

to, drwiąc. Nie tylko świat jest nie wart. Także nasze opinie o nim. Wszystko jest godne kpiny.

Rzecz w tym, że takim to poglądom Becketta idą w sukurs jego znakomite umiejętności pisarskie. Bo Beckett fascynuje. Swoimi racjami? Nie. Przede wszystkim swoim stylem. Już pierwsze karty jego opowiadań dają nam znać, że mamy do czynienia z wielkim stylistą francuskim. Co najbardziej zaskakuje czytelnika, to chyba Beckettowska koncepcja czasu. Autor „Nowel” burzy porządek czasowy, do jakiego przywykliśmy, w sposób, nie spotykany dotychczas w prozie francuskiej. Beckett wykorzystuje konwencje snu, jego personae dramatis poruszają się w świecie nie odpowiadającym światu rzeczywistemu. Na myśl przychodzi Kafka.

Rzeczywiście, nie trudno wskazać związki, łączące obu tych pisarzy. Ale wydaje się, jak gdyby Kafka oddziaływał na Becketta nie wprost lecz za pośrednictwem swego pełnomocnika na terytorium prozy francuskiej. Tym pełnomocnikiem jest Maurice Blamont, świetny powieściopisarz i krytyk literacki, autor „Aminadable”, „Thomas obscure”, „Le dernier homme”.

A jednak proza Becketta, której, zdawałoby się nie rozjaśnia żadne światło, skrzy się humorem. Oto jedna z tajemnic tego pisarstwa. Humor Beckettowski przywodzi na pamięć Swifta. Swift także żył w Irlandii.

Nowele Becketta, podobnie jak jego dramata pozbawione akcji, są czymś w rodzaju filozoficznych opowiadań. Czytając te opowiadki czujemy, jak cierpieć nam skóra.



Samuel Beckett. Oto nazwisko, które obok Joneso — stało się sensacją sezonu. Najpierw teatralnego. „Czekając na Godota” to już nie tylko tytuł sztuki; „Czekając na Godota” to już bez mała przysłowie. Wszło w obieg niezłym powiedzenie. Teraz z kolei „Czytelnik” prezentuje nam Becketta jako prozaka. Ukazał się niedawno zbiór jego opowiadań. „Wydalany”, „Narkotyk”, „Koniec” — te trzy nowle mieszczą się w niewielkiej, białej, gdy żeń zdjąć obwolucie, książeczce.

Jaką kreację, jaki mit tworzy ten Irlandczyk, piszący po francusku? Ktoś się obruszy: co za pytanie! Zaraz, zaraz, pytanie całkiem do rzetelności. Bo pisarze XX wieku tym, między innymi, różnią się od swych dawnych poprzedników, że tworzą własne mity. Mity o sobie. Oni „kochają tworzyć” mity. Kochają? Ba, muszą. Dzisiaj nie tworzyć mitu, to znaczy nie dbać o karierę. Mit tworzy popularność. Wyprzedza po-

GOLONO STRYZON



Żyjemy w kraju, w którym równie łatwo o święto jak i żalobę. Tydzień Dobroci dla Zwierząt czy Pierwszy Międzynarodowy Dzień Głuchych — i już okazje dla festynu, transparentów i „lampki wina”, jak to zwykle określa się u nas parę butelek spirytusu. W ten sposób przez cały okrągły rok trwają jakieś obchody.

Ale ów drugi bieg jest być może jeszcze bardziej charakterystyczny dla obyczajów społecznych. Przegra Pietrzykowski z zamorskim bokserem — żaloba. „Wkleili” EKS-owi parę bramek — żaloba. Skrzytykował za granicą któregoś tancerza — żaloba. Dramat narodowy, płacz i zgrzytanie zębów.

Tyle, że w takich wypadkach parę butelek spirytusu nie nazywa się już „lampką wina”.

Ale cóż, kiedy człowiek dysponuje ściśle określoną ilością energii osobistej i nie może wydatkować jej bez granic, nawet na uroczystości i żaloby. A gdzie pozostaje miejsce dla spraw bardziej ważkich? Cóż tam, powiedzmy, niewykonalanie planu w budownictwie okrętów, jeżeli Klepura dostał chrypkę i odwołał zapowiadany koncert.

Tak, tak — zrównoważenie jest bardzo ważną zaletą. Przydałby się bez wątpienia jakiś Rek Spokoju. Proponowałbym wówczas wywiesić tylko jeden transparent: „Żaloby narodowej się nie ogłasza”. Choćby nawet nasi dzielni chłopcy przegrali do zera z drugą reprezentacją Pernambuco.

Obsesjoniste

Po groszu sztuka

Jeśli na świecie są same genialne dzieci, skąd właściwie bierze się tylu krytyków?



Jak uzdrowić Polskę?

Barmanki w nocnych lokalach na żądanie „mała czysta” winny podawać pententem szklanek mleka, śmiejąc się przy tym złośnie w celu zapobieżenia odruhom buntu.

Uliczne dziewczyny, po ustaleniu honorarium i udaniu się z gościem na pobliskie schody, winny niezwłocznie agitować za poparciem Odnowy Moralnej, uzależniając od zgody klienta swoje dalsze świadczenia.

Wprowadzić ustawy o obowiązkach gry w szachy.

Ponieważ homoseksualizm szerzy się zastraszająco mężczyźni winni stale przebywać w domu, aby nie narażać się na zaczepki.

Pisma ilustrowane powinny zamieszczać wyłącznie zdjęcia maszyn, najlepiej kombajnów, oraz krów wysokomlecznych.

W tramwajach urządźć stosowne przegródki, uniemożliwiające zwanie cieleśne.

Skasować wszelkie słowa czteroliterowe, zaczynające się na literę „d”, ażeby pozbawić osoby piszące możliwości dokonywania subtelnych aluzji.

*) np. drąg, data, drań, dupa, dren.



Wciąż się zastanawiam, co lepsze: bigos po myśliwsku czy malarstwo abstrakcyjne.

Kochałem ją tak bardzo, że musiałem odejść nie mogąc znieść jej zaju, gdy widziałam mnie z innymi kobietami.

Nikt jeszcze nie rozstrzygnął, czy kolory w nocy znikają, czy tylko przestają być widoczne?

Po co żyrafom wkładać naszyjniki z pereł? I tak nikt ich nie zauważy!

Mogę zrozumieć, jak się radio robi, ale nigdy nie rozumiem, dlaczego radio gra?

Jeśli nie wiecie co to znaczy mieć „minę miliardera”, obejrzyjcie sobie pierwszego lepszego miliardera.



Celny strzał fotoreportera

Naszemu fotoreporterowi udało się wykonać sensacyjną zdjęcie Picassa, przebiegającego się przed swą codzienną kąpielą w... Nie, nie możemy zdradzić w czym, Mistrz albowiem błagał nas o dyskrecję.



Warszawska jesień

(Dokończenie ze str. 7)

Potem się biada, że wielki Szymanowski jest światu prawie nieznanym. Natomiast dzisiejsza twórczość polska była szczerze (choć nienadmiernie) reprezentowana i odniosła szereg cennych sukcesów. (Zbieramy, jak widać, owoce tytanicznej pracy. Szymanowski nad odrodzeniem muzyki polskiej). Ogromnym aplauzem przyjęto „Muzykę żalobną” Witolda Lutosławskiego, nie milknąca owację wywołało „Concerto giocoso” Michała Spisaka. Bardzo zycielnie przyjęte zostały: opera „Krakatuk” Tadeusza S-eligowskiego, IV Symfonia Romana Palestra, Koncert na

flet i orkiestrę Kazimierza Sikorskiego, „Nokturn” Piotra Perkowskiego. Z polskich utworów dodekafonicznych wybitny sukces odniosły „4 esesje na orkiestrę” Tadeusza Bairda. Z zainteresowaniem słuchano polskich utworów punktualistycznych (a tak!) kompozycji Henryka Góreckiego, Włodzimierza Kotońskiego, Kazimierza Serockiego.

Przy omawianiu przebiegu festiwalu niesposób zapomnieć o zestawie świetnych wykonawców, stanowiących zespół odtwórczy najwyższej klasy. Uczestniczyli soliści światowej rangi: Sławostaw Richter, Henryk Szeryng, Heinz Rehfuß, Jakub Zak i inni. Grały świetne orkiestry: leningradzka (dyrygował Eugeniusz Mrawiński i Kurt Sanderling), lipska (dyrygował Herbert Kegel); z

polskich zespołów uczestniczyła Wielka Orkiestra Radiowa (Jan Krenz), Filharmonia Narodowa (Witold Rowicki i Stanisław Skrowaczewski), Filharmonia Śląska (Andrzej Markowski). Kwartet smyczkowy Juilliarda (USA) reprezentował najwyższą klasę kameralistyk. Zasłużone laury zebrała Opera Bałtycka pod kierownictwem Zygmunta Latoszewskiego.

Prawdziwym sukcesem organizacyjnym trzeba nazwać fakt że w festiwalu wzięli udział tak wspaniali odtwórcy. Oni nadają martwym nutom żywy kształt dźwiękowy i emocjonalny. Bez nich utwory festiwalu miałyby szare oblicze.

KRZYSZTOF ANTONI MAZUR



W klasztorze na górze Tabor w Palestynie zabarykadowało się dwóch mnichów prawosławnych, którzy mieli być odesłani do Grecji z powodu niemoralnego prowadzenia się. Jednym z zakonników jest sam archimandryta. Na górze Tabor urzęduje komisja kościelna, która usiłuje namówić mnichów do posłuszeństwa.

Do sławnego hipnotyzera londyńskiego zadzwonił Harold Scott z Rochester w stanie Minnesota, chcąc odczytać się palenia papierosów. Hipnoza telefoniczna nie udala się, gdyż zaraz po skończeniu rozmowy Scott zapalił papierosa.

Władze miejskie w Well's Ford, Nowa Zelandia, odkryły, że nowa stacja straży pożarnej o nowoczesnym wyposażeniu, kosztującym 160 tysięcy dolarów, nie posiada dopływu wody.

Do mieszkania Sadie Stelman w Birmingham wtargnęli złodzieje, aby wypruć swoje rzeczy w jej pralce.

WIELKA PROŚBA

(Dokończenie ze str. 1)

demologicznej — nie zauważeni przez przechodniów przemierzających miasto, zaglądnąca wszędzie tam, gdzie może powstać niebezpieczeństwo zagrażające zdrowiu ludzkiemu.

— Z każdym rokiem sytuacja przemysłu mięsnego w Łodzi staje się coraz to większym problemem — odpowiada dyrektor Stacji dr Jerzy Zański — Po wojnie, przyjęto lub adaptowano pomieszczenia nie przystosowane do masowej produkcji, nowych obiektów jeszcze nie ma, a tu zapotrzebowanie wzrasta i stąd ciasnota i anty-sanitarne warunki dotychczasowych pomieszczeń. Dla zobrazowania wzrostu spożycia wędlin wystarczy przyjrzeć się cyfrom chociażby w przybliżeniu. Niedawno spożyto w Łodzi około 8 ton wędlin dziennie, a dziś spożycie wzrosło do około 15 ton. Tej sytuacji nie rozwiążą żadne drobne zabiegi, ani też dostawy z tzw. przetrzu — polegające na dowożeniu mięsa z odległych miast, jak Bydgoszcz, Bytom. To pogarsza jedynie sytuację, gdyż warunki transportu pozostawiają wiele do życzenia, chociaż w przetrzutach sytuacja o tyle się poprawiła, że nie do miasta nie dostanie się bez uprzedniej kontroli naszych punktów, które w tym celu zorganizowałyśmy.

ZACZEŁO SIĘ OD ZWYKLYCH... ŁODÓW

Po tej rozmowie studowałem gruby plik dokumentów godny naukowej rozprawy. Oprócz protokołów, notatek dotyczących skandalicznych warunków w przetwórnich mięsnych będących przedmiotem oskarżenia (art. 217, par. 1, lit. C Kodeksu Karnego), spotkałem dokumenty pełne rzeczowej argumentacji w sprawie istniejącej sytuacji i wskazujące na środki zmierzające do jej załagodzenia.

Inna rzecz, że Łódź przemawia do Warszawy jak przysłowiowy jak obrażony. A Warszawa po swojemu: „Do kogo ta mowa?”

Co znaczy, że alarmy w sprawie „stoiny i rabanki” nie odnoszą skutku „na górę”.

W protokole z konferencji w Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej m. Łodzi z 13 str. 6, w wypowiedzi dra Kieruczenko — kierownika dz. badań laboratoryjnych, wiersz 5 od góry czytamy: „Ad 1. Wytwórnie nie przestrzegają zasad higieny. Przykład: na ul. Nowotki 45 — mięso z sieni wrzucono do wilka. Na ul. Kopernika 50, kat szczury w beczce z mięsem przeznaczonym do produkcji kiełbas.”

W piśmie do Prokuratury Wojewódzkiej dla m. Łodzi z dnia 6. VIII 58 — ZSE VII — 4a-Z-42-58 w punkcie 1 czytamy: „Przetwórnia mięsna przy ul. Grabowej 11 jest jednym z ogniw całości łódzkiej przetwórnicy mięsnych, które dzięki swemu niechlujnemu i anty-sanitar-nemu stanowi produkują wyroby wędliniarskie zanieczyszczone i zakażone, powodujące, po wprowadzeniu ich do obrotu, masowe i coraz bardziej nasilające się zachorowania ludności na tzw. zatrucia pokarmowe pochodzenia mięsnego.” Dalej: „karygodny brak troski o czystość warunków produkcji, nie zwracal (kierownik dop. MZ) uwagi na brud i zanieczyszczenie pomieszczeń przetwórnicy i sprzętu. I tak: kilkadziesiąt salcesonów „formowało się” bezpośrednio na zdeptanej posadzce, przyciśnięte brudnymi deskami. Fartuchy używane przez podległy mu personel były brudne i oklejone od dawna nie usuwanymi resztkami mięsa i tłuszczu (dowód rzeczowy).” „dalszym wyrazem jego zupełnej bez-troski sanitarnej było zupeł-ne niezainteresowanie się zbiornikiem wody zaopatrującym przetwórnice, znajdującym się na poddaszu tuż obok mieszkania Anieli i Aleksandra Ułacha, którzy nielegalnie przygotowywali w dniu 5 czerwca br. lodę jadalną i na skutek anty-sanitarnych warunków tej produkcji spowodowali zakażenie masy lodowej od chorego w tym czasie Aleksandra Ułacha — zarazkiem

wywołującym ostre zatrucia pokarmowe (Salmonella typhi murium). Zakażenie to objęło około 300 jedzących te lody osób.

W czasie lustracji stwierdzono, że zbiornik ten był odkryty, obok niego znajdowały się w brudzie i nieładzie sprzęty należące do Ułachów, m. in. — wiadro ze śmieciami i ekskrementami chorobowymi Aleksandra Ułacha. Przedmioty te mogły łatwo spowodować zakażenie wody w zbiorniku. „Woda ze zbiornika zaopatruje przetwórnice, a przecież w przetwórnicy, na podłożu formowało się kilkadziesiąt salcesonów...”

To prawda, że przetwórnice na ulicy Grabowej oddano niedawno do remontu, że z przetwórnicy na ul. Kopernika 50 przepędzono plagę szczurów, ale to nie zmienia faktu panującej tam ciasnoty. Bo na nie zdają się drobne makijaże, bez radykalniejszych zmian, starość pozostanie starością coraz bardziej pochyla.

JAK ZA KRÓLA CWIECZKA

Nasza błyskawiczna wędrowniczka z p. dr Danutą Wilanowską — przedstawicielką Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej rozpoczęliśmy od przetwórnicy „Wędliniarz” na ul. Kopernika 44.

Pierwsze wrażenie: przetwórnica „Wędliniarz”, a czemu nie, załóżmy, im króla Cwieczka? Buchające kłęby ostrego, niebieskiego dymu z drzwi wejściowych do przetwórnicy — potęgują wrażenie prymitywu. Jacyś ludzie, donosząc z wewnątrz ciepłą wodę w wiadrach myją przed budynkiem drewniane skrzynie służące do transportu suchych wędlin. Wszystko odbywa się ręcznie. Chociaż...?

Towarzyszący nam kierownik przetwórnicy usilnie stara się rozproszyc wątpliwości dr Wilanowskiej co do skuteczności takiego mycia. Pani jest jednak nieustraszona, nie, tylko tłumaczy, radzi, zarządza. A uwag znajduje wiele. Zauważa np. że siatka w oknie jest po to ażeby drzwi były zamknięte. Przechowywane mięso w pokłowni znajduje się w skrzyniach pokrytych pleśnią, to znów na poddaszu

gdzie są suche wędliny, zwiłsa pajęczyna tuż tuż nad nimi, i beczką z przyprawionym czosnkiem, który idzie bezpośrednio do wyrobów.

— Jak tu przestrzegać zasad higieny — wtrąca kierownik — kiedy w całym pomieszczeniu jest tylko jeden klozet, z którego oprócz załogi przetwórnicy korzysta jeszcze 5 rodzin i personel sąsiedniego sklepu obuwicznego?

— Jaki macie plan produkcji? — wtrącam.

— Około 1.500 kg dziennie, ale na sobotę plan dzienny wynosi już 1.990 kg nie wliczając w to produkcję specjalnej dla „Delikatessów”.

Druga przetwórnica, na ul. Kopernika 50 — robi wrażenie znacznie korzystniejsze, jakby bardziej nowoczesne. Dopiero przy bliższym przyjrzeniu się tym więcej rzeczy występują takie mankamenty, jak bliskość za-pelnionego po brzegi śmietnika i składowy starych kłoci z miejscem gdzie się przetwarza. Brud, panujący w ekspedycji głównej, tanie kiełbasy zwiłsające w kacie tuż przy miotłach używanych do wymiatania pomieszczeń. Prowadzi się także roboty remontowe w okresie produkcji. To zjawiska, które nie wzbudzają zaufania. Ale szczury należą, prawdopodobnie, do przeszłości. Do tego ciasnota, przykre zapachy w chłodniach i produkcja, produkcja dochodząca do 8 ton dziennie, a nawet i więcej w stosunku do możliwości 4-5 ton, to niezbyt pochlebne świadectwa o gospodarzu.

CZY WARTO BUDOWAĆ?

Pytanie może wydać się dziwne. Jednak widocznie musi być „tam gdzieś” osoba, która zadaje sobie podobne pytanie. Jakże to — pytanie? A jakże inaczej, skoro od chwili powołania specjalnej komisji budowy zakładów mięsnych dla m. stołecznego Warszawy i Łodzi upłynęło już osiem (!) lat, od powołania zespołu specjalistów łódzkiej siedem (!) lat, od opracowania założeń projek-

towych, które zostały zatwierdzone — pięć (!) lat, od uzyskania kredytów — dwa, a od rozpoczęcia budowy — jeden rok (Załącznik nr 10 str. 1 i 2).

Dalej. Zadania stawiane przemysłowi mięsnemu przez Łódzki Zarząd Handlu na rok 1958 wynoszą: 13.000 ton wędlin i 7.340 ton wyrobów wędlin i kaszanek, nie wliczając odbiorców umownych, podczas kiedy możliwości na pokrycie stawianych zadań wynoszą 11.300 ton wędlin i 6.760 ton wyrobów wędlin i kaszanek. A więc z góry zakładany niedobór wyniesie: 2.200 ton wędlin i 680 ton wyrobów wędlin i kaszanek.

Czy nowowbudowana przetwórnica w Pabianicach, której uruchomienie nastąpi wkrótce rozwiąże kłopoty? Nie! Wspomniany niedobór wynikał już z wliczenia produkcji i tej przetwórnicy.

A przecież rozwiązanie problemu zdaje się być takie proste, po tylu latach oczekiwania: „należy zapewnić priorytet dla budowy chłodni przyrzecznej w Łodzi. Należy przyspieszyć sporządzenia dokumentacji technicznej i zapewnić szybką przebudowę projektowanych hal uboju trzody i bydła na rzeźni w Łodzi. Od tego uzależniona jest budowa przetwórnicy wędlin w obecnej hali uboju trzody”.

WIELKA PROŚBA MAŁEGO CZŁOWIEKA

Wreszcie czas na ujawnienie wielkiej prośby. Proszę przeczytać uważnie, bardzo uważnie: zatrucia pokarmowe mięsem i jego przetworami stanowią przeważającą część wszystkich zatruc pokarmowych i są spowodowane: zakażeniami masy towarowej w anty-sanitarnych warunkach, łatwym psuciem się produktów mięsnych (brak lodówek) względnie — niewłaściwym składem produktów mięsnych.

w roku 1954 — 15.823 przypadków zachorowań, 64.986 zwolnionych dni;

w roku 1955 — 18.005 przypadków zachorowań, 81.184 zwolnionych dni;

w roku 1956 — 20.436



przypadków zachorowań, 111.077 zwolnionych dni; w roku 1957 — 24.664 przypadków zachorowań, 141.002 zwolnionych dni. Proszę przeczytać uważnie, bardzo uważnie, chodzi o zdrowie ludzkie i straty w naszym społecznym budżecie.

MARIAN ZDROJEWSKI

ROZMOWY W HAMBURGU

(Dokończenie ze str. 2)

w V wieku, a jeszcze bardziej w wiekach VI i VII.

Wbrew twierdzeniom niektórych niemieckich i innych uczonych głoszących, że nie posiadamy dobrze datowanych zabytków słowiańskich sprzed wieku VII, starałem się udowodnić także nie tylko posiadamy takie zabytki dobrze datowane, ale że nawiązują one swymi formami do zabytków wcześniejszych. Innymi słowy można to sformułować tak, że Słowianie zasiedlili w dorzeczu Odry i Wisły od więcej niż trzech tysięcy lat oraz że na ziemiach między Odrą i Łabą zamieszkiwaliśmy w ciągu naszej ery co najmniej przez siedem stuleci jako społeczność politycznie i ludnościowo dominująca, nie licząc kilku dalszych wieków powolnej germanizacji tych obszarów, w których Słowianie ciągle jeszcze trwali. Około połowy I tysiąclecia n.e. Słowianie nie byli jakąś bezwładną masą, którą w ruch wpraw-

mogły tylko obce siły — najazdy Hunów czy Awarów, ale właśnie wówczas już mamy do czynienia z ekspansją Słowian, biorącą początek z rozwoju rodzimych



Wykopiska pod Bremerem

sił gospodarczo-społecznych, co szło w parze z równoczesnym kurczeniem się obszarów germańskich na wschód od Łaby.

PYTANIE: Oczywiście dorobek Kongresu, w tym dorobek naukowy archeologów polskich zapoczątkowany w Hamburgu, będzie w jakiś sposób utrwalony?

ODPOWIEDZ: W niedalekiej przyszłości: ukaże się wielka publikacja referatów z V Kongresu Archeologów w Hamburgu. Znajdą się w niej niewątpliwie też referaty delegacji polskiej —

m. in. referat prof. dr Witolda Hensla z Warszawy, który, niestety, z powodu choroby nie mógł być obecny na Kongresie, mianowicie jego referat o fortyfika-

W przygotowanej wielkiej publikacji kongresowej znajda się też dwa dalsze polskie referaty, mianowicie mgra Waldemara Chmielewskiego z Łodzi o zagadnieniach związanych z datowaniem różnych kultur ze środkowej epoki kamienia w Polsce, oraz doc. dr Andrzej Zakiego z Krakowa o Celtach w Polsce. Obaj ci badacze nie mogli niestety brać udziału w Kongresie osobiście z powodu niespodziewanych orzeszków zewnętrznych.

Emigracja polska reprezentował p. prof. dr Tadeusz Sulimierski, przed wojną wykładowca archeologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, obecnie mający zleczone wykłady na Uniw. Londyńskim i na kilku innych wyższych uczelniach angielskich. Wygłosił on bardzo ciekawy referat na temat kultury scytyjskiej w Europie środkowej.

Trzeba dodać na zakończenie, że organizacja Kongresu była znakomita. Gospodarze Kongresu uczynili wszystko, aby gościom z zagranicy dać maksimum pożytecznych i przyjemnych wrażeń.

Rozmawiał

ZBIGNIEW NOWICKI

odtosisy str. 9



Prof. dr Józef Kostrzewski

„POLICJA MA PEŁNE RĘCE ROBOTY“

Przełaził — szczerą jak dotąd twórczość popularnego już Sławomira Mrożka — nie trudno zauważyć, że istotną, kto wie czy nie zasadniczą cechą stylu autora „Słonia” jest persyflaż. Persyflaż nie-miłosierny, integralny, drwina przekazana bez mrugnięcia powieką, bez najmniejszej nawet próby dołączenia jakiegos rozładującego a-kompaniamentu.



Czytelnik najlepiej redagowanego w Polsce tygodnika literackiego (mam na myśli — oczywiście — krakowskie „Życie Literackie”) nie odmówi sobie nigdy lektury „Postępowca”. Ten mikrotygodnik, redagowany wytrwale przez jednego, tylko jednego człowieka („wszystko Sławomir Mrożek”) poinformuje czytelnika o akcji zbierania butelek po wódce, które mają zmateriałowować ideę „szklanych domów” St. Żeromskiego. Czytelnik „Postępowca” dowi się, że kukulka jest wielce pożytecznym ptakiem dla uczonych ekonomistów, którzy na podstawie ilości kuknieć mogą rozwiązywać ważne zagadnienia gospodarcze. Czytelnik „Postępowca” dowi się wreszcie o wszystkich pożytkach, jakie przynosi ples pokojowy — jamnik. Wszystko to przekazane jest w tonie nie zwykle poważnym, z godnością i szacunkiem.

Owa niemilosierna i niepodzielna drwina, owa tonacja ironii nie-ironii wystąpi jaskrawo w niedawno napisanej przez Mrożka sztuce teatralnej pt. „Policja”. Sztukę tę, wystawioną z pełnym powodzeniem zobaczyliśmy na scenie Teatru „7.15”. Nie trudno chyba stwierdzić, że o „tragizm” Mrożkowskiej farsy — groteski — dramatu decyduje jakaś, założona z góry hiperpoprawność — nadgorliwość. Te słowa z powodzeniem można zastąpić wyrażeniem: „maksymalizm zupełny”.

Wyjaśnię, co przez to rozumiem. Otóż maksymalny, bo szczerze nawrócony, podpisujący akt wiernopoddania czy jest w sztuce — wiezień. Maksymalny, bo prowokujący, zakochany do przesady w mundurze, zdyscyplinowany, choć „rozdwojony” jest też sierzant-prowokator. Maksymalne wreszcie, bo szczerze nie dające się sprowokować, spontanicznie wiatujące na cześć własnego rządu, jest również społeczeństwo. Wszelki maksymalizm, albo mówiąc inaczej tzw. przegięcie jest czymś niebezpiecznym. Prowadzi nieuchronnie do sytuacji bardzo nieprzyjemnych. Kończy się też taki stan rzeczy najczęściej albo rozładowaniem „przegięcia”, albo nowym, w odwrotną stronę przegięciem. Nie inaczej u Mrożka. Dobrobyt oglądany spoza kraty więziennej prowadzi do wspaniałej ewolucji ostatniego wroga ustroju. Przemiana ostatniego więźnia zagraża z kolei racji bytu policji, jako instytucji „obsługującej” i likwidującej niebezpiecznych. To prowadzi do nowego maksymalizmu. Opętany komendant aresztuje początkowo „na ni-

by” maksymalistę-sierżanta, który (przegięcie w odwrotną stronę) stanie się rewolucjonistą całą gębą. Mrozek wprowadza czytelnika i widza w labirynt krzywych zwierciadeł. Zjawia się generał. Jego adiutantem jest uprzedni więzień, obecnie odrodzony, na usługach rządu, policjant (przegięcie w odwrotną stronę). Uprzedni prowokator — teraz nowonarodzony rewolucjonista, wróg rządu, bez mrugnięcia okiem rzuca niby niebezpieczną bombę na generała. Następuje eksplozja. Dwaj maksymaliści (choć z tej samej strony barykady stojący) tj. komendant i adiutant generała przyskakują do siebie. Aresztują się wzajemnie. Każdy z nich ma swoją „maksymalną” rację. Ale oto generał wychodzi z ustępu, gdzie ukrył się, by uniknąć śmierci. Chce aresztować dwóch, aresztowanych już przez samych siebie i policjantów. Maksymalizm — hiperpoprawność dochodzi znów do głosu. Oto aresztowany już komendant aresztuje generała (rację aresztującego są oczywiście wyrazem jego maksymalizmu). Jaki jest tedy sens sztuki Mrożka? Nie sądzę, żeby to było podsumowanie fragmentu historii. Jest to jakaś groteskowa, wpisana na margines pewnych spraw głosa.

Nie trzeba — jednak sądzić — wyciągać z tego wniosków zbyt daleko idących, choć przecież Mrozek w sposób niezwykle dowcipny skwitował po swojemu dialektyczną zasadę rozwoju poprzez walkę przeciwieństw.

Autor mówi w „uwagach o ewentualnej inscenizacji” o zagęszczeniu konstrukcyjnym sztuki. Jest to — delikatnie mówiąc — pewna przesada. Lektura sztuki Mrożka skłonić może do refleksji, że mamy do czynienia z utworem niefatalnym, niefatalnym przynajmniej w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Otóż okazuje się, że na scenie Mrozek absolutnie nie nudzi. Błyszczy dowcipny dialog dramatu.

Absolutna wymyślność, paradoksalność poszczególnych postaci i sytuacji skłania reżysera do specjalnego potraktowania materiału. Tak też postąpił, przywrócony Łodzi Roman Sykała. Jego sposób „ustawienia” aktorów wydaje mi się nad wyraz celowym i słusznym. Prawie każdy z aktorów zachowuje należyty dystans w stosunku do postaci przedstawianej. Może najmniej zaznacza się to u Włodzimierza Kwaskowskiego, ale i rola jego daje stosunkowo najmniejsze pod tym względem możliwości. Trzeba stwierdzić jednak, że aktor ten stworzył bardzo prze-

ERIC BURGIN albo wesołe podróże

Przedziwna wieś Kolumna

(Dokończenie ze str. 3)

miasto. Awans Kolumny nawet do osiedla pozwoliłby rozbudować miejscowość. W Kolumnie są do sprzedania: 22 domki jednorodzinne — do których pierwszeństwo mają dotychczasowi użytkownicy i repatrianci — oraz 51 działek. Za te działki i domki wieś zdobyłaby 1 milion 305 tysięcy złotych, które obróciłoby się na budownictwo komunalne. Wtedy chamy, gdyż bardzo miło mieszkaloby się tutaj w lesie, gdyby oczywiście można było sobie pozwolić na wybudowanie domku — marzenia. Ale, niestety, pieniądze nie mamy. Więc może jakś tak społecznie? Tym bardziej, że gdyby Kolumna awansowała na miasto, czego z całego serca jej życzymy — własność nabytej działki byłaby „czasowa”: to znaczy „gdyby gm”na (lubie te stara demokratyczna nazwa) planowała w tym miejscu, gdzie stoi mój domek, wybudować np. kino, musiałbym z honorem czyli za odpowiednim wynagrodzeniem, ustąpić. Czasami się to oplaca, a czasami nie. Więc może lepsza byłaby myśl „społecznej” ofensywy na Kolumnę: budowy domków przez zakłady pracy czy spółdzielnie mieszkaniowe. Łódź jest otoczona podwójnym wieńcem księżyków: przemysłowych, jak Pabianice, Aleksandrów, Zgierz i wycieczkowych jak Kolumna. W lesie w lasach Kolumny mieszka tysiąc dzieci łódzkich przebywających na koloniach. Warto pomyśleć o wczesnych niedzielnych dla robotników łódzkich. Niechże więc Kolumna awansuje do rangi ogrodu — przedmieścia Łodzi, co jej i naszemu miastu wyjdzie tylko na zdrowie.

Jeśli kiedykolwiek znajdziecie w zagranicznym magazynie ilustrowanym jakiś rysunek Erika Burgina, to istnieje dziesięć szans przeciw jednej, że żart ten będzie dotyczyć turystyki. Włóczęgi i podróże, podmiejskie wycieczki week-endowe, rybołówstwo — oto żelazny temat dowcipów brytyjskiego humorysty, konsekwentnie realizowany w setkach żartów obrazkowych.

Burgin wie co robi eksploatując tematykę turystyczną: jest ona na pewno dla wytrawnego humorysty niewyczerpaną kopalnią pomysłów. Wiemy z własnego doświadczenia, ileż zabawnych i tragicomicznych perypetii dostarcza każda wyprawa wakacyjna...

I choć w żartach Brytyjczyka nie ma żadnej „filozofii” (którą można bez trudu wyczytać u wielu innych rysowników, gdzie spoza komicznej sytuacji wyglądają przeróżne antypatie i obsesje) — to jednak twórczość Burgina zdecydowanie wyróżnia się inną cechą — oryginalnością pomysłów.

Burgin jest popularnym w Anglii rysownikiem — współpracuje stale z „Punchem” (skąd wybrano załączone rysunki), magazynami „John Bull” i „Every Lady's” oraz z dziennikami „Daily Sketch” i „Daily Mirror”.

Urodził się w 1926 roku, mieszka w małym miasteczku Maidenhead w pobliżu Berkshire.

Jeszcze jedna informacja — jeśli to kogoś interesuje — Burgin jest żonaty i ma dwoje dzieci.

J. W.

Najostrejsze
OŁÓWKI
ŚWIATA



— Przestań leżeć tak głupio! Szybko — zrób coś!

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł
Redakcja nie zamawia rekwizytów pocztowych, listonosze oraz PUPIK
Prenumerata „Przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK
„Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7-6-579
z oznaczeniem na „Odgłosy”
Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 3037 X. 58. M-4.

str. 10 **odgłosy**

(Dokończenie na str. 11)



BIAŁY KAPITAŁ



- 1 -



Zima w 1923 roku przyszła do małej podlowskiej miściny Żółkwi bardzo wczesnie. Był, dopiero początek listopada, a już śnieg pokrył ziemię białą warstwą puchu. W koszarach 6 pułku strzelców konnych zima wyciska swe specyficzne piętno — panował spokój, a nawet nuda. Z okna kancelarii spoglądałem tęsknie w stronę Lwowa — o 30 kilometrów dalej zaczynało się życie, tu było pusto, tęskno i źle. Ciągłe powracałem w myślach do lwowskich czasów, do murów korpusu kadetów, w których spędziłem 6 lat wczesnej młodości. Co też w tej chwili robi Zuzia ze śmiesznie zadartym nosem, do której tylekroć wymykałem się poprzez korpusowy mur?

Żuźba w pułku nie była tak interesująca jak się początkowo wydawało, pełniłmy wraz z kilkoma kolegami nie nic znaczące funkcje niby to oficerów, niby to podoficerów. Jednym słowem biednymi podchorążymi latano i zapychano wszelkie możliwe dziury. Co zrobić? Wojsko!

Po raz setny wracałem myślą do Zuzi i Lwowa, gdy do kancelarii wtoczył się na krzywych nogach, barykowany, podporucznik Ł.

— No, chłopcy, przygotować się do balu — na 4 grudnia u nas święto.

I właśnie zaczęło się 4 grudnia. W tym dniu obchodziliśmy święto pułkowe, wieczorem był bal, na którym poznałem panią Z. żonę jednego z wyższych oficerów.

Idylla nie trwała długo. Po miesiącu wezwano mnie do Lwowa do DOK 6. Dyrektor Departamentu Kawalerii miał stopień podpułkownika, sumiaste wąsy i nadkwasotę żołądka. Dzięki tej ostatniej przypadłości rozmowa była bardzo lakoniczna i krótka — przede mną stanęły dwie alternatywy albo symulować chorobę i iść do zakładu dla umysłowo chorych, albo... uciekać.

Dezercja — to słowo było dla mnie zawsze wstrętne i znaczyło tyle samo co zdrada. Ale jakie jest trzęcie wydłże? Czasu do namysłu nie było.

O godzinie 18-tej wieczorem z dworca lwowskiego młody podchorąży odjeżdżał pośpiesznym pociągiem w kierunku Krakowa. Przedział był pusty. Złe myśli kołatały do wrotu kołom wagonu. Za oknem w ciemności przesuwali się podkarpacki krajobraz, otulony nocą i śniegiem. Do Krakowa dojechałem nad ranem nie zmrużywszy nawet oka. W kieszeni miałem kilkadziesiąt złotych — to był mój cały majątek. Musiałem co rychłej kupić cywilne ubranie, które musiało mi wystarczyć na dłuższy okres czasu.

Po paru godzinach młody chłopak w śmiesznej smokingowej marynarce i przykrótkich szarych spodniach, w szalku wstydliwie maskującym brak kołnierzyka i krawata wchodził do biura rekrutującego chętnych do francuskich kopalni.

Imię, nazwisko... data urodzenia. Dyskretny urzędnik będący na żółdnie francuskiego koncernu węglowego nie pytał o dokumenty, wierzył ludziom na słowo, byle

- 2 -



wyglądali na silnych i chcieli pracować we francuskich kopalniach. Chwila krótkiego namysłu, i oto w rubryce nazwisko — urzędnik zapisał Kowalski, imię Jan, urodzony w roku 1904. Tego samego wieczora, wjeżdżał przez Myślenice na terytorium Czechostowacji amutny pociąg wiozący w zimnych, niepalonych i nie oświetlonych wagonach nowy transport polskich emigrantów.

Jechali całe rodziny, jechali samotni, jechali w kierunku Paryżu, gdzie mieli znaleźć pracę, chleb i lepsze warunki życia. Tym ludziom niewiele było potrzeba. Parę złotych dziennie, kawał chleba, trzy razy dziennie zupa — czego trzeba więcej, gdy człowiek przyzwyczaił się do głodu jak do swego cienia?

W wagonie wybuchały spory, by za chwilę zamienić się w żarty, śmiech lub płacz. Niewesoło mi było w drodze. Za sobą zostawiłem wszystko — mosty były spalone, co czekać mnie może tam? To pytanie stawałem sobie tysiące razy w czasie drogi przez Czechosłowację, Niemcy i Francję.

W Paryżu na dworcu powitał nas duży plakat wzywający młodych i pełnych żądzy życia ludzi do Legii Cudzoziemskiej. To był moment objawienia. Tak, to coś dla mnie! Nauczyłem się już uciekać. Tego dnia uciekłem z transportu, który miał odjechać w kierunku Pas de Calais. Noc przespałem na dworcu, a rano pierwszy francuski policjant, którego spotkałem przed dworcem odwiózł mnie pod Wersal przed Biuro Rekrutent. Nie dziwiłbym się uprzejmości policjanta, gdybym wiedział, że za każdego zgłaszającego się otrzymuje odprowadzając sumę 100 franków.

I oto stoję przed biurkiem, za którym w fotelu siedzi ex carski pułkownik Tokadze. Książę uśmiecha się łaskawie, zna kilka polskich słów.

— Do Legii? Proszę bardzo, ale wiedz, chłopcy, że to ciężka służba, namyśl się...

Gdy mówię, że już się namyśliłem, pułkownik obojętnie wzrusza ramionami, pyta o personalię, wpisuje je do książki, daje mi do podpisania formularz, klauzula zapadła. Po dwóch dniach jestem już na kładce wiodącej do Fortu św. Jana w Marsylii. Na bramie napis: „Żołnierze Legii przyszlście po to, żeby umierać, więc ja was posła tam gdzie umierać można”.

Korsykańczyk — oficer Legii przyjmujący w Fortie rekrutów, ma twarz buldoga i minę zbroja.

— Oddać wszystkie rzeczy, zegarek, nortfel. Nic was już nie łączy z życiem w cywilu — jesteście żołnierzami Legii.

Po obiedzie fasujemy stare podarte francuskie mundury, w których gineli zapewne żołnierze pod Verdun. W tych mundurach, po tygodniu maszerujemy już przez Oran. Ludzie patrzący na ciągnącą kolumnę legionistów mają miny drwiące i pogardliwe — nowy transport mięsa armatniego przybył do Afryki. Inni patrzą na nas ze współczuciem, jakby wzrokiem pytają — ludzie, czyście postradali rozum?

Na dworcu ładują nas do wagonów, jedziemy — kierunek Sidi-beh-Abbes.

- 3 -



Wieczorem na dziedzińcu koszar, które noszą nazwę „Matka Legii” przyjmują nasz transport dowódca pułku — oficer w stopniu pułkownika, pan życia i śmierci nie tylko żołnierzy, ale całego rejonu.

Dostojnika tego żołnierze oglądają raz na kilka lat. Wygłasza do nas krótkie przemówienie.

Od dziś nie ma wśród was Niemców, Francuzów, Anglików, Włochów, Polaków — od dziś jesteście legionistami, podlegacie prawu tejże Legii i tylko ona decyduje o waszym życiu i śmierci — bądźcie jej godni.

Pułkownik wsiadł do samochodu i odjechał. Dla nas zaczął się okres rekrucki.

Podpisałem kontrakt na 5 lat. I oto tego samego dnia spotkała mnie i mych nowych kolegów niespodzianka, z rzędu przyjemnych — wypłacono nam po 500 franków. Na nasze polskie stosunki przedwojenne była to suma duża, gdyż odpowiadała 250 złotom. Pieniądze te darowano nam jednak na ściśle określony cel — pożegnać się za nie z życiem cywilnym, zerwać wszelkie więzy łączące serce z krajem. Jednym słowem 500 franków należało wydać w towarzystwie starych legionistów na wódkę i dziewczynki.

Przed wieczorem wzięło mnie w obroty dwóch starych legionowych wyjadaczy. Dali mi stare kepi, pas, mundur, buty — wyglądem niczym nie różniłem się od legionistów przebywających w Sidi-beh-Abbes od paru lat.

Rozpoczęła się nauka salutowania, które opanowałem rzecz jasna bardzo szybko. Jednak korpus kadetów i podchorążówka czegoś mnie w końcu nauczyły...

Wieczorem legionści „przeszwarcowali” mnie do miasta. Sobie tylko znanymi wąskimi i śmierzczącymi uliczkami, na których nie zachodziła obawa natknięcia się na patrol Legii, zaprowadzili mnie do ołbrzymiego lupanaru. Tu byliśmy już bezpieczni — do domu publicznego patrolu Legii nie mała wstępu. Jest to terytorium całkowicie wyłączone spod ingerencji władz, jako że należy do konsorcjum, w skład którego wchodzi kilku radnych miejskich, paru wyższych oficerów, a nierzadko nawet czerpie dochody z tego przedsiębiorstwa, rzecz jasna po cichu i dyskretnie, sam... gubernator.

Gdy opuszczałem rano cuchnące pomieszczenia tego przybytku rozkoszy, w kieszeni miałem pustkę, w sercu gorzki w głowie szum po alkoholu a przed sobą L — spektakl pięciu lat życia, którego największą przyjemnością będą odtąd płatne kobiety i tania pałaca wódka.

O Zuzi już nie myślałem, została daleko, a wspominać ją dziś, to to samo co ubliżać jej pamięci. Jej czu-emu spojrzeniu i temu wszystkiemu, co kiedyś wydawało mi się drogie i bliskie.

A więc będę żył tak, jak żyją legionści, a legionści nie żyją jak normalni ludzie.

C. d. n.

„Policja ma pełne ręce roboty”

(Dokończenie ze str. 10)

nywająca postać oghupionego komendanta. Uniknął też w sposób szczęśliwy szarż, które niebezpieczeństwo, siła rzeczy, zawisło gdzieś nad tą rolą.

Interesującą postać stworzył Stanisław Kamiński. Aktor ten wygrał potrafił, co jest najważniejsze, jednolitość charakteru „bezmieślnie myślicieo” sierżanta-prowokatora. Jego ewolucji o 180 stopni nie pozwolili widzowi także traktować zbyt poważnie. W sumie ubawił wszystkich znakomicie. O ile Kamiński grał tepezo kretyna „bezmieślnie

myślicieo”. Tadeusz Sabaczka, początkowo ucharakteryzowany na J. L. Barrault z „Komediantów”, stworzył postać bardziej w duchu inteligentnym. On też podawał tekst z największym odcieniem ironii w głosie. W sumie chyba lepszy był w pierwszej części swej roli. W pozostałych, znacznie szerszych rozmiarach, wystąpili: J. Andrzejewska i T. Szmidi. Aktorzy ci nie wylamali się z ogólnej tonacji przedstawienia. Sądząc, że obok inteligentnej reżyserii, dużym stosunkowo atutem przedstawienia jest

scenografia (Marian Stańczak). Scenografia to czasem prawie „barokowa”, wykorzystująca elementy sprzeczne (urządzenie mieszkania sierżanta-prowokatora, kostiumy więźniów, mundury policjantów, pseudotyrolski kapelusze sierżanta „po cywilnemu”). Scenografia Stańczaka podkreśla w sposób trafny groteskowość, paradoksalność sytuacji i charakteryzuje społeczeństwo, którego stróżę noszą ordery przypięte do poszczególnych nogawek spodni. „Policje” Sławomira Mroźka zdecydował się wystawić teatr, który

jakże często dokonuje zmian personalnych w swym zespole. Nowe nazwiska, wśród nich nazwiska tegorocznych absolwentów PWST w Łodzi, może wreszcie rozwiążą istotne dla tego teatru zagadnienie aktora. Omówiony spektakl stanowić powinien także jakiś swoisty przyczynek do dyskusji na temat repertuaru tego teatru, próbującego, być może, pod niewinną nazwą „7.15” ukryć swoje stałe, ściśle spreycyzowane założenia i tendencje.

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

Uwaga, Czytelnicy „Odgłosów”

Jak już zapowiadaliśmy w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów”, ogłosimy warunki wielkiego konkursu

Polskiego Radia i Telewizji „Odgłosów”.

Prosimy śledzić najbliższe numery naszego pisma. Prosimy kompletować „Odgłosy” począwszy od bieżącego numeru, gdyż w numerach tych zostaną „rozrzucone” pewne elementy potrzebne do odgadnięcia niektórych pytań konkursowych. Wśród nagród, które czekają na zwycięzców Konkursu znajduje się m. in. wysokiej marki aparat radiowy, telewizor itd.

odgłosu str. 11



NOWE ARCYDZIEŁO?

Podobno Jan Koecher, autor najgorszego polskiego filmu („Kariera”), przygotowuje obecnie nowy obraz o innym tym razem tytule. Piśmym „podobno”, gdyż nie wiemy, czy rzeczona wyżej rewelacyjna informacja odpowiada prawdzie. Każde sprostowanie zamieścimy z przyjemnością.



NOWA OKŁADKA CZASOPISMA „LIFE”, CZYLI AMERYKANIE INTERESUJĄ SIĘ PIERWSZYM POLSKIM WESTERNEM...

Do Rymanowa Zdroju (Bieszczady), gdzie bawi ekipa filmu „Rancho” pod dowództwem reż. Wadima Berestowskiego i operatora Romualda Kropata (zespół „Po prostu”), przybyła niedawno wycieczka korespondentów „Life’u”, pp. Kaufmann i Morse. Gości zachwyciła oxfordzka angielszczyzna miejscowej szafowej kuchni i przypada im do gustu treść nakreśnianego obrazu. Obiecują, że najbliższa okładka „Life’u” poświęcona będzie filmowi „Rancho”.

Z ostatniej chwili...

JEDNA DROGA MY WSZYSCY IDZIEMY

Widzieliśmy na własne oczy *, że zespół filmowy prof. Bohdziewicz zmienił nazwę na „Droga”.

* w czółówce filmu „Karlo sze szczęścia”.

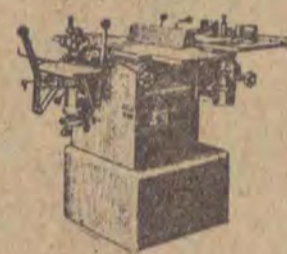


Uwaga konkurs!

Od pierwszych numerów naszego tygodnika pojawiają się na jego łamach rysunki wychodzące spod pióra Stanisława Ibis-Gratkowskiego. Wypadaloby wreszcie przedstawić Autora naszym Czytelnikom. Niestety, miast fotografii rozporządzamy jedynie skromnym sztychem, który — jak przypuszczamy — jest autoportretem Artysty, nie lubiącego ujawniać swojego oblicza.



A oto Jego warsztat pracy.



Wysłał stąd niezliczoną ilość rysunków, lepszych i gorszych, ale zawsze dowcipnych. Niekóre z nich przypominamy. Czynimy to nie bez powodu, gdyż — uwaga Czytelnicy! — ogłaszamy razem konkurs. Napiszcie nam, który rysunek uważacie za najlepszy. Należy podać nazwisko aktora (względnie aktorki) i przynajmniej jeden tytuł filmu, w którym dana postać występowała. Wśród autorów odpowiedzi rozlosowane zostaną nagrody, a wynik plebiscytu zostanie ogłoszony w jednym z najbliższych numerów.

Uwaga: — jest to konkurs błyskawiczny, a więc odpowiedzi powinny być zgłaszane w ciągu najbliższych siedmiu dni, czyli do 1 listopada, br. (Decyduje data stempla pocztowego).

Prosimy o podawanie na kopercie adnotacji: „Błyskawiczny konkurs filmowy”, a dopiero potem adres: „Odroglosy”, Łódź, Piotrkowska 98, III p.



NIEZNOŚNA



DZIEWCZYNA

Przyszedł do mnie pomyślowy Belfer *) z ankieta. Wypisał na niej parę kłesk i kazał zaznaczyć, które z nich uważam za najbardziej dokuczliwe. Wykonałem polecenie, a potem opadył mi na głowę małe mające wspólne z rzeczoną wyżej ankietką. Na wszystko możemy pomstować, dumatem, wspominając Belfrowe wyliczenie, na to, tamto i owo **). Tylko na jedno nie. Bo pokażcie mi, proszę, inny kraj, gdzie „prawdziwa” sztuka, ta przez największe „S”, ma tytuł dzielnych żołnierzy i zwawych propagatorów, co w Polsce? Piśmę o tym nie tyle z powodu ankietki Belfra, ile z okazji filmu „Nieznosna dziewczyna”. Już ten obraz doczykał się pomstowań, posyłanych pod jego adresem! („Po co toto kupione?”) i wymysłów, pomawiających go o sto parędziesiąt odstęptw od klasycznego wzorca, owej komedii, która jest ponoć dziełem sztuki...

Pożal się Boziu! Oto i komedie dzieli się na dwa rodzaje. Niektóre reprezentują Muze, a inne nie. Ana, czyli w tej drugiej grupie będą więc komedie, które (słuchajcie uważnie!) tej samej p. Muze przynoszą wstyd... I to nie taki sobie, zwyczajny wstyd, ale wstyd specjalny, uniesiony do ważkiej potęgi, gdyż (jak to się ładnie mówi językiem energicznej, gazetowej wzmianki), poniesiony za „nasze, czyli państwowe pieniądze”. — Nieprawda. — Przeciwnie, ale atrakcyjny film ***) nijakiej Muze uszczerbku nie przynosi. Co najwyżej — zjednywa jej nowych wyznawców. Chyba, że komedia jest wyjątkowo podła. Zdarzają się i takowe, ale wtedy mówić nie ma o czym, bo to nie film, tylko kiec.

„Nieznosna dziewczyna” jest komedią uszytą wcale



Nie raz, nie dwa i nie trzy, ale już cztery razy zwracaliśmy uwagę naszych Czytelników na akcję, prowadzoną przez tygodnik „Wiadomości Filmowe”. Specjalizacja tygodnika jest na ogół znana, periodyk ten doskonali się w reklamiarstwie, stojącym na pograniczu ekwilibrystyki. No cóż, czynienie reklamy każdemu filmowi, z natury rzeczy jest przedsięwzięciem na miarę cyrkowego popisu.

„Wiadomości” zapisują się złotymi głoskami w szlam-buchu każdego sprawozdawcy, dostarczają bowiem cennych informacji, materiału zdjęciowego i p. Rolę „Wiadomości” widać najlepiej — gdy się przejrzy tuzinkowe sprawozdania, ukazujące się na łamach prasy ogólnopolskiej i terenowej w ilości kilku sztuk dziennie. Zaprrawdę, wychowały sobie „Wiadomości” szkółkę cichych współpracowników, którzy przyswoili sobie „wiadomościowy” (i wiadomo czy), styl enuncjacji i „wiadomościowe” metody przekonywania.

Ostatnio porzucili „Wiadomości” pokorę chrześcijańską, która do niedawna zaznaczała się w publikowaniu oświadczenia: „Gdy znajdziesz u nas błąd, pamiętaj racz, ilu błędów dzięki nam uniknąłeś”. Teraz „Wiadomości” walczą półrem swojego czołowego publicysty (p. Leona Bukowieckiego) o swoje prawa do swawolnej reklamy i lekkomyślnych ocen, ferowanych na prawo i lewo, bez rozważania w kwestii istoty jakości artystycznej i rozrywkowej zjawisk pochodzących z ogródka CWF. Dostało się dwu panom: Michałowi

zgrabnie, bo na miarę popularnej Brigitki i odpowiednio do skali jej możliwości aktorskich****). Gorzej jest ze strukturą filmową tego wcale niearcydzieła, ale nie spodziewamy się zbyt wiele od zbioru kolorowych pocztówek, to i rozczarowanie będzie mniejsze.

Historijka jest równie banalna co konwencjonalna. Znajdujemy w niej około trzech popularnych w swoim czasie anegdotów, opowiedzianych od początku do końca i drugie tyle rozpoznać, a dokończonych i naczaj. Jean Bretoniere jeździ pięknym sportowym modelem MG, Brigitka rozbiega się przy każdej okazji i tańczy (to drugie robi lepiej), a jeśli ktoś uwielbia bijatykę, to coś z tego też pod koniec znajdzie. Oczywiście — nadmiar wymienionych atrakcji nie przesądza o szalowości zjawiska, jako, że jeśli ktoś się uprze, to i na strip-teasie zasnie****). Analogicznie, a więc na uparte, przy zaangażowaniu maksimum dobrej woli, znaleźć można w „Nieznosnej dziewczynie” kilka dobrych pomysłów rozwiązań sytuacyjnych i parę żartów, pobudzających widownię do okazywania na zewnątrz oznak wybuchowej radości. Choćby w momencie, gdy na szerokim, kolo-

* ANKIETA * ANKIETA * ANKIETA * ANKIETA



...Mogę odpowiedzieć na pytanie ankiety młodzieńczym wierszykiem, który znalazłem w szufladzie — pisze p. Bernard Sztajnert, poeta, autor tomiku wierszy „Chwila ahistoryczna” — mającego lada dzień ukazać się na półkach księgarskich. Oczywiście, wypowiedź p. Sztajnerta drukujemy z przyjemnością i przypominamy, że w dalszym ciągu oczekujemy uwag, listów i wypowiedzi naszych Czytelników.

FILM I JA

Grały jeszcze kinowe organy, Czarno — biało było i ciemno. Na kolanach siedziałem u mamy Film się uczył mówić wraz ze mną.

Rośnie szybko, ja jeszcze się bawię. On już kocha, szaleje w okrykach — Ja zaledwie po polsku rozumiem On przemawia we wszystkich językach.

Już przystroił się w barwy bogate, W złudę głębi i brył w panoramie. Ach, obnażyć go przed całym światem. Nie słuchajcie go, ludzie, on kłamie!

* ANKIETA * ANKIETA * ANKIETA * ANKIETA

Korczyńskiemu z „Gazety Pomorskiej” i Zbigniewowi Zapertowi z „Expressu Wieczornego”. „Pan Korczyński nie wie, w którym kościele dzwonią!” woła p. Bukowiecki tytułem swojego felietonu. Przepraszam, a po co p. Korczyńskiemu kościelne rozeznania, gdy w kwestiach filmowych ma rację? Wynika to jasno z cytatów przytoczonych przez p. Bukowieckiego, a nie są-

dząc, żeby p. Bukowiecki wybierał cytaty mu niewygodne. Bo i po co? Ale po p. Bukowieckim wszystkim się można spodziewać, jako że mylą mu się dwie rzeczy „pismo dystrybutora” i „pismo publicystyczne”. Peridyk („Wiadom. Filmowe”) — czyż on by nie był — pomieszcza publicystykę, przemianą między wierszami notatek i wzmianek. Publicystyką jest nawet pominięta nieskromna kłótka (oparta na zasadzie „tylko ja mam rację”), rozpętała przez p. Bukowieckiego. Także i cytaty z „Cathiers du Cinema” wplecione ni w pięć ni w dziesięć, łącznie z sugestią, iż tylko wybitni krytycy współpracują z tym piśmie, a więc zdanie „Cathiers du Cinema” jest święte. „Kochankowie z Werony” — to, niestety, film innej klasy niż „La Strada” i „Umberto D”, a p. Korczyński (którego teksty czytamy po raz pierwszy w życiu) winy za to nie ponosi. Poności tę winę Andre Cayatte i czas, który upłynął od wyprodukowania przezeń rzeczzonego obrazu.

Natomiast p. Zbigniewa Zaperta z „Expressu Wieczornego” zaatakował Bukowiecki za przewinięcia zupełnie innego typu, broniąc z ramienia swego pracodawcy redakcję programów kinowych. I słusznie dostało się Zapertowi, który wyraził zdanie w miarę oszczędne i umiarkowane. Wnien był napisać obok oceny tekstu znalezione w programie, że pojawienie się takich jak ten tekstów w ręku masowego widza jest skandalem wartym odnotowania. Nie raz, nie dwa, nie trzy i nie cztery pisaliśmy, co sądzimy o poziomie intelektualnym programowych dziwactw i o rzeczowości podawanych przez nie informacji. Innym razem napiszemy jeszcze o specyficznym streszczeniu obrazów i o uporczywym naginaniu każdego drukowanego słowa do poziomu kabotyńca. Tej imprezie przyświeca jedyny cel: Rzecz jasna, chodzi o posłuszeństwo na rzecz pryncypała — Centrali Wynajmu Filmów, postępowanie pokornie spełniane przez kolektyw publicystów „Wiadomości Filmowych”, którzy, o dziwo — inaczej piszą na innych łączkach — a inaczej na własnej.

ETL

*) vide 2 kolumna.

**) same smutne rzeczy. Nie dziwnego, że potem komedie cieszą się powodzeniem...

***) film może być atrakcyjny z tych lub innych przyczyn. Często-kroć tzw. „artyzm” dzieła nie ma na to nijakiego wpływu. Natomiast rzeczne gromadzenie atrakcji graniczy z tymże pojęciem artyzmu...

****) scenariusz „Nieznosnej dziewczyny” pisał... Vadim, czyli ex małżonek Brigitki. Kto wie lepiej, na co ją stać?

*****) można, słowo daję, że można. Autor niniejszych uwag zasnął na przykład w „Casino Paris” (podczas występu płać z rządu pani) i wcale się tego nie wstydział.

